

Rok XXXIII

Nr e-154 (350)

Sierpień 2019

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



SPIS TREŚCI – SIERPIEŃ 2019

Z NASZEGO REGIONU

Boczne drogi, Piekielko i listopad	<i>Krzysztof Gdula</i>	3
Jelenia Góra na Głównym Szlaku Sudeckim	<i>Krzysztof Tęcza</i>	6
Zielony szlak w Modliszowie	<i>Bartosz Skowroński</i>	12

OJCZYSTE SZLAKI

50 lat gazdowania na Hali Lipowskiej	<i>Sławomir Chojnacki</i>	14
--	---------------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Koleją w góry 2019.	<i>Juliusz Wystouch</i>	16
--------------------------	-------------------------------	----

GLOBTROTER

Alpejski Breintenberg z historyczną niespodzianką	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	18
Dawid Garedża – pustynny klasztor	<i>Mirosław J. Barański</i>	21

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Najniebezpieczniejsze miejsca w Karkonoszach	<i>Zbigniew Norbert Piepiora</i>	24
Spotkanie z okazji 10-lecia projektu „Moja Mała Ojczyzna”	<i>Krzysztof Tęcza</i>	25
Zakony bez tajemnic	<i>Krzysztof Tęcza</i>	26
Sudety w malarstwie Stanisława Kanonowicza	<i>Zbigniew Norbert Piepiora</i>	29
Warsztaty dotyczące szacowania wartości środowiska przyrodniczego	<i>Krzysztof Tęcza</i>	30
Cytat miesiąca		31

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Adam Szymański	<i>Janusz Fuksa</i>	32
----------------------	---------------------------	----

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Łapy precz od parków narodowych !!!	<i>Tomasz Kowalik</i>	34
---	-----------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Wędrując oddychaj głęboko i uszanuj	<i>Tomasz Kowalik</i>	36
Tężniogrody, czyli tam, gdzie są tężnie	<i>Tomasz Kowalik</i>	37
Nowości Wydawnictwa Poznańskiego		39
Góry Kaczawskie słowem malowane		40

Na okładce: Kudowa Zdrój, w głębi sanatorium Polonia. Fot. Piotr Dacko

Boczne drogi, Piekiełko i listopad

Przez Pogórze i Góry Kaczawskie biegnie kilka głównych dróg, które tak naprawdę są lokalnymi szosami łączącymi powiatowe miasta. Między nimi rozciągnięta jest siatka bocznych, już nienumerowanych dróg, między większymi wsiami i głównymi szlakami komunikacyjnymi, ale są też drogi łącznikowe, prowadzące skrótami do tych znaczniejszych lub do małej wioski z kilkoma domkami przycupniętymi gdzieś na uboczu. Najładniejsze są drogi asfaltowe. Asfaltu mają tyle, żeby zmieścić koła samochodu osobowego, a w swoim biegu pamiętają polne dróżki – ich poprzedniczki – i jak one nie kłopotczą się stromością podjazdów, ostrością swoich zakrętów czy brakiem widoczności. Nierzadko zastanawiałem się, dlaczego taka droga wiję się po rozległej i w miarę równej płaszczyźnie pól, dlaczego akurat w tym miejscu, niczym przecież niewyróżnionym, decyduje się na nagły skręt o 90 stopni, którego nawet rowerem nie przejedzie się bez znacznego zwolnienia tempa. Szybsza jazda tamtędy przypomina mi pewną karuzelę, która nieustannie podnosi się i opada, a nie zrobi jednego nawet obrotu bez paru zniesień na boki zmuszających do silnego trzymania się. Jednakże drogi te nierzadko prowadzą bardzo widokowymi zakątkami, skoro nie omijają wjazdów na strome zbocza wzgórz czy karkołomnych zjazdów w doliny, i w tym ich urok.

Jedna z takich dróg łączy Sokołowice Dolny z Nowym Kościołem. Przy okazji kilkakrotnego przejeżdżania tamtędy zwróciłem uwagę na malownicze otoczenie, a zastanawiając się nad trasą dzisiejszego dnia uświadomiłem sobie, że tyle razy będąc w tych górach, nie chodziłem tamtędy. Dorzuciłem jeszcze poszwendanie się po okolicznych wzgórzach, znanych, ale lubianych, i oto miałem plan.

Nocą zabrałem kolegę z Legnicy i sporo przed siódmą, więc niemal w ciemności, ruszyliśmy w drogę. Dopiero gdy byliśmy za wsią, już na zboczach wzgórz, Eos otworzyła zaspane oczęta i podeszła do okna. Miała na sobie koszulę nocną o jaskrawych barwach płynnie zmieniających się od ciemnej czerwieni zmieszanej z granatem, a miejscami jakby z dodatkiem fioletu, do jaśniejszego oranżu. Wymalowanymi wzorami natomiast jako żywo przypominała strzępy chmur na niebie oświetlonych od dołu niewidocznym jeszcze słońcem. Bogini zamknęła okno nim weszło słońce, chyba znowu nie była sama...



Dynowice i Dłużycza z Wygorzela



Wielisławka, w centrum Połom

Na zachód od wsi, między kilkoma niewielkimi wzgórzami, jest duża polana przecięta dwiema dróżkami, ozdobiona nitkami drzew, paroma strumieniami, falowaniem pól

podchodzących ku ciemnym ścianom lasów i widokiem nieodległej Ostrzycy. Pola, wciskając się szerokim pasem na zbocze wzgórza Wygorzel, zapraszają do poznania ich. Może słowo o nazwie: trzymając się odwiecznych zasad tworzenia nazw miejsc należałoby uznać, iż w tej zapisane jest wspomnienie pożaru, który strawił lasy na tej górcie. Jeśli tak było, to najwyraźniej dawno temu, skoro śladów nie ma już żadnych, ale też wiadomo, że słowo, ów niematerialny i zwiewny jak eter twór człowieka, bywa trwalsze od kamieni i ludzkiej pamięci.



Droga i brzozy, pod Owczarnią

Na mało zaznaczonym i zalesionym szczycie nie byłem, ale dzisiaj zaciągnąłem mojego towarzysza na brzeg lasu bliski szczytowi, a tam zobaczyłem niebo między drzewami. Spodzielając się otwartej przestrzeni, weszliśmy między drzewa i po paru minutach zatrzymałem się oczarowany nagłą zmianą widoku i jego rozległością. Mały wzgórek pokazał mi swoje drugie, jakże odmienne, oblicze: stok góry opadał stromo w wąską dolinę, po drugiej jej stronie pięła się ściana Dłużycy, a wydawała się niemal pionowa. Dnem wiała się szosa, pełzały nią malutkie samochody, a po lewej horyzont uciekał daleko, po Złotoryję i wyraźnie widocznego Wilkołaka. Wysokość sprawdziłem na mapie: stok opada tam 115 metrów, co na standardy kaczawskie, a już zwłaszcza pogórzańskie, jest dużą różnicą.

Tylko dla tego miejsca, tej chwili i tych widoków, warto było brać wolne i zrywać się w nocy, a przecież dzień jeszcze się nie kończy – pomyślałem, stojąc na krawędzi stromizny i gapiąc się. Mam jeszcze jedno miejsce na własnej liście miejsc ładnych i wartych powtórnego odwiedzenia.

Oddalaliśmy się od tamtej bocznej dróżki, ale nie zapomniałem o niej; mieliśmy zrobić zakole i wrócić. Droga wypadła przy źródle Piekietka, więc nie mogłem nie zajrzeć między drzewa. Wyraźnie wykształcony od pierwszych metrów jar strumienia był suchy. Zszedłem niżej chcąc zobaczyć, gdzie pokaże się woda – była dopiero ponad 100 metrów dalej. Wtedy wróciła do mnie myśl o przejściu całego jaru. Byłem tam kilka lat temu, ale szybko zrezygnowałem z wędrówki, ponieważ iść można było tylko dnem, a woda była zbyt głęboka. Teraz jest jej dużo mniej, więc poszliśmy. Kilkumetrowej wysokości ściany, miejscami urwiste i kamieniste, głęboki półmrok, kamiennie-roślinny chaos, pod nogami chlupocząca woda lub mlaskające błoto, ale zwalone drzewa nie zagradzały tak przejścia, jak wtedy. Patrząc na ślady stwierdziliśmy, że dnem jeżdżą motocykliści i usunięcie zwalisk jest zapewne ich dziełem. Potwierdziłem to w drodze powrotnej: na początku swojego biegu strumień spadał ze skalnego, pionowego progu o wysokości jednego metra, teraz tego progu już nie ma. Czyżby okazał się za wysoki dla tych kozaków?



Strumień i jar Piekietko

Cała tamta okolica, to znaczy zbocza Wygorzela, Czeszki i Wołka, jest zasobna w agaty, kiedyś była tam kopalnia, teraz spotyka się dzikie wyrobiska, dziury w ziemi kopane przez amatorów tych ozdobnych kamieni. Uderza kontrast między ich urodą a brzydotą miejsc wydobywania. Doły, zryte zbocza, walające się opakowania, ziemia z wykopów osuwająca się po zboczu, pochylone, podkopane drzewa – oto wygląd agatowych miejsc.

U wylotu jaru i strumienia zarządaliśmy przerwę na posiłek,

a miejsce nie było przypadkowe. Rośnie tam kilka daglezi, którym zawsze warto przyjrzeć się uważnie. Te są średniej grubości, mierzą niewiele ponad pół metra, a jedną z nich uwiódł nasz swojski buk: ona stoi skromnie, on obejmuje ją korzeniami niczym ramieniem, jakby chciał wrosnąć w nią, zespolić się w jedno drzewo z kochanką. A może po prostu boginki tych drzew, hamadriady, mają się ku sobie? Jeśli tak, to niech im będzie dobrze ze sobą i niech jedna nie zostanie bez drugiej.



Piekiełko

Listopad zubożył kolory drzew, ale ich nie pozbawił. Wierzby jak zwykle jeszcze nie myślą o odrzuceniu liści, brzozy i buki nadal chwalą się kolorami ciepłej jesieni. Wydaje mi się, że w tym roku więcej widzę kolorów na drzewach. Patrzę na osiki i mam wrażenie widzenia ich tak ładnymi po raz pierwszy. Nie wiem, czy wcześniej nie zauważałem tych drzew, czy w tym roku rzeczywiście są ładniejsze, czy może bardziej cenię ładne drobinki moich zbyt szybko mijających dni.

Na zboczu Czeszki byłem parę razy sam, dwukrotnie z Jankiem, a powód powrotów jest oczywisty: piękne widoki. Okolice naszej dróżki nie zawiodły nas. Są tam, co prawda, rozległe pola, ale też wiele uskoków gruntu, które zostawione samym sobie zarastają kępami drzew i krzewów, tworząc oazy gatunkowej różnorodności, a spotyka się i samotne drzewa nieodmiennie przyciągające wzrok. Znaleźliśmy parę takich urokliwych zakątków, zapewne kilka zostało do poznania. Ziemia jest tam czerwona – jak resztki skał na zalesionych szczytach łagodnych wzniesień. Kiedyś były tutaj skaliste góry, teraz jest przewracana pługami ziemia rozległych pól – oto skala przemian oblicza Ziemi. Ktoś powiedział, chyba nawet ja sam, że na Ziemi nawet góry nie są wieczne, natomiast wieczne są metamorfozy oblicza naszej planety.

Gdy byłem w okolicy wzgórza Buczynka parę lat temu, zaskoczył mnie zmierzch. Tak mi się wydawało, ale po chwili poznałem przyczynę narastającej ciemności: czarne chmurzyska ciągnęły niemal po ziemi swoje paskudne cielska, obficie sypiąc na mnie mokrym śniegiem. W jednej chwili poczułem się jak wędrowiec mający kilka dni drogi do domu; spodobało mi się to wrażenie, tamten mój powrót do wioski, samochodu i cywilizacji. Dzisiaj było podobnie: późne popołudnie, raczej początek zmierzchu, szare powietrze, bure niebo, zacinający deszcz i mało widoczna zszarzała ściana bliskiego lasu.

Taka późna, mokra i szara godzina ma swój urok i potrafi się podobać, chociaż w jej smakowaniu przeszkadzają drobiazgi: zmęczone nogi, niewyraźny obraz przez zmoczone okulary, czasami myśl o powrocie do pracy. Gdy uświadomię sobie wartość chwili – tej chwili, ale szerzej po prostu moich chwil – zatrzymuję się i patrzę. Patrzę i słucham. Staram się być tylko tutaj i tylko teraz.

Czasami udaje mi się ta sztuka.

Krzysztof Gdula



**Okolice Owczarni,
w głębi Ostrzyca**

Jelenia Góra na Głównym Szlaku Sudeckim

Kto z prawdziwych turystów nie myślał o przejściu całych Sudetów? Chyba nie ma takiej osoby. Ja myślałem o tym od czasu, kiedy zdobyłem pierwszy stopień Górskiej Odznaki Turystycznej. Niestety do tej pory jakoś nie było czasu na tak długą wyprawę. Bo Główny Szlak Sudecki (GSS) prowadzący przez całe Sudety od Świeradowa Zdroju do Prudnika mierzy 444 kilometry. Dużo to czy mało? Dużo, powiedziałbym nawet, że bardzo dużo. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę kilometry przewyższeń, różnorodność nawierzchni ale także, a może przede wszystkim pogodę. Bo inaczej się chodzi po górach, gdy świeci słońko a inaczej gdy pada deszcz. O zimie nie wspominać, bo to już jest trasa ekstremalna. My natomiast mamy, wyruszając na tak długą trasę, patrzeć na nasze bezpieczeństwo. Chodzi o to by powrócić do domu całym i zdrowym. W końcu są to góry i wszystko może się tam przytrafić. Trzeba zatem przygotowania do takiej wyprawy rozpocząć od logistyki. Musimy rozplanować etapy przejścia tak by mieć gdzie przenocować. Musimy zadbać o odpowiednie odzienie i wyposażenie, o żywności już nie wspomnę. Trzeba pamiętać, że cały zabrane do plecaka sprzęt będziemy musieli nosić na barkach przez minimum dwa tygodnie. Tyle bowiem w najlepszym razie trwa przejście takiego szlaku. Najczęściej jednak chodzący nim turyści zużywają na to 18 dni, taki bowiem jest wymóg regulaminu by zdobyć odznakę brylantową GSS-u. Ci, którzy nie podołają wyzwaniu zdobywają trzy pozostałe stopnie odznaki: brązowy, srebrny i złoty. Wtedy czas nie ma tu specjalnego znaczenia.

Jak już wspominałem zawsze brakowało mi czasu by wyruszyć na trasę. Tym razem udało się. Dostałem w pracy wolne i mogłem spróbować swoich sił na tak długim przejściu. Ponieważ dbam o wizerunek mojego miejsca zamieszkania podjąłem decyzję by moje przejście połączyć z promocją regionu. Dlatego wyruszając w trasę udałem się do prezydenta miasta Jelenia Góra, pana Jerzego Łuźniaka, i poprosiłem o przekazanie mi koszulek z logo miasta. Chciałem całą trasę przejść w takiej właśnie koszulce. Dzięki przychylności urzędników magistratu otrzymałem koszulki w różnych rozmiarach. Miałem zamiar obdarowywać nimi wszystkich, którzy po drodze przyłączali się do mnie by przejść ze mną chociaż kawałek trasy. Dodatkowo z wydziału promocji dostałem torbę z różnymi gadżetami. Wszystko, jak łatwo się domyśleć, rozdałem w ciągu pierwszych kilku dni wędrówki. To dobrze, bo mój plecak stawał się coraz lżejszy.

Na trasę wyruszyłem 29 czerwca 2019 roku. By nie było zbyt monotonię od razu, od pierwszego dnia zaczęły przytrafiać mi się różne przygody. Na początek, gdy żona odwiozła mnie i Pawła, który postanowił towarzyszyć mi pierwszego dnia, zostawiłem swój telefon w samochodzie, co skutkowało tym, że nie mogłem robić dokumentacji fotograficznej. By ograniczyć ciężar bagażu nie wziąłem z sobą normalnego aparatu fotograficznego, który waży dużo więcej niż telefon. Na szczęście mój towarzysz udokumentował nasz pierwszy dzień i użyczył mi swoich zdjęć.

Wracając jednak do samej trasy, początek Głównego Szlaku Sudeckiego znajduje się w Świeradowie Zdroju. To tam jest namalowane białe kółeczko z czerwoną kropką. Przed nami, jak już wspominałem, 444 kilometry drogi. W zasadzie od razu poczuliśmy, że jesteśmy w terenie górskim. Podejście do schroniska „Na Stogu Izerskim” nieźle dało się nam we znaki. Przecież temperatura dochodziła wtedy do 38 stopni w cieniu. A my wcale nie szliśmy w cieniu.

Ponieważ ruszyliśmy o 6 rano wcale się nie zdziwiliśmy, że w schronisku jeszcze śpią. Byliśmy na to przygotowani. Przejście przez Góry Izerskie zawsze należy do przyjemnych, mimo swojej długości. Aby dotrzeć do Szklarskiej Poręby trzeba przejść niemal 30 km. Tym jednak razem trafiliśmy na spore utrudnienia. Okazało się, że właśnie tego dnia rozgrywano jakieś zawody rowerowe i oczywiście na trasach było dosłownie setki rowerzystów pędzących ile sił w nogach. Wcale im nie przeszkadzali piesi idący swoimi szlakami. Niestety my zmuszeni byliśmy do ciągłego uważania czy przypadkiem ktoś nie wjedzie nam na plecy. Straciliśmy przez to sporo czasu i sama wędrówka nie była już tak przyjemna jak na początku.

W końcu udało nam się po odpoczynku w schronisku na Wysokim Kamieniu zejść do Szklarskiej Poręby gdzie zakończyliśmy pierwszy dzień przejścia.

Drugiego dnia, w niedzielę czekało nas nieźle wyzwanie. Niestety osoba mająca mi towarzyszyć rozchorowała się i na trasę ruszyłem sam. Tym razem do przejścia miałem całe pasmo Karkonoszy, nie chciałem bowiem nocować w górach. Samo podejście do Kamieńczyka, choć mało komfortowe, poszło sprawnie. Tak jak wczoraj, w schronisku wszyscy spali. Mało tego, kiedy dotarłem do schroniska „Na Hali Szrenickiej” tam też jeszcze spali. W takiej sytuacji nie było sensu zbaczać do schroniska „Na Szrenicy”. W sumie, mimo gorąca szło się tak lekko, że nawet nie wiem, kiedy dotarłem do przełęczy na Śnieżnych Kotłach. Jak do tej pory

zauważyłem, że w górach jest pusto. Prawie nie spotykałem turystów. Dopiero, kiedy podążałem na Przełęcz Karkonoską zaczęli mijać mnie pierwsi spacerowicze. Nie wiem tylko czy więcej było ludzi czy psów biegających tam i z powrotem.

W sumie fajnie się szło, może trochę monotonię, ale cały czas posuwałem się do przodu. Jednak, gdy dotarłem do Czarnej Przełęczy musiałem na chwilę przystanąć. Ktoś założył koszulkę na pomnik Kalmana. Prawdopodobnie uczynił to w zimie bo nie była ona pierwszej świeżości. Nie mniej warto było upamiętnić taki widok. Nieco dalej mogłem uznać, że w dniu dzisiejszym jestem mieszkańcem Jeleniej Góry, który znajduje się w jej najwyższym miejscu. Dotarłem bowiem do Czeskich i Śląskich Kamieni przez Czechów nazywanych Mužske i Divči Kameny.

Teraz, po zobaczeniu postępu na budowie schroniska Petrovka i odpoczynku w schronisku Odrodzenie, pozostało mi tylko podejść do skał obecnie znanych jako Słonecznik. Nie zawsze jednak tak było. Dawniej nazywano je inaczej. Po II wojnie światowej były to Głazy Tetmajera, a w czasie wspomnianej wojny, z okazji urodzin Gerharta Hauptmanna laureata literackiej nagrody Nobla nadano im jego imię.

Tuż obok znajduje się może nie ładna, ale ciekawa kamienna Ławeczka RGV. Zbudowana przez organizację, której inicjały wyryto na niej, od lat służy za punkt odpoczynku, z którego roztaczają się wspaniałe panoramy.

Przy ławeczce spotkałem małżeństwo z dziećmi, które przyjechało w Karkonosze na odpoczynek. Wszystko było dla nich wyjątkowe. Ponieważ chcieli oni wracać do Karpacza tą samą drogą, którą przyszedli namówiłem ich by dalej poszli ze mną. Po drodze opowiedziałem im o Karkonoszach, o nieistniejącym schronisku księcia Henryka, i w końcu pokazałem jak mają pójść by przez Strzechę Akademicką wrócić do miasta. Po tym jak mi dziękowali widać było, że Karkonosze jeszcze bardziej im się spodobały. Oczywiście dostali ode mnie drobiazgi, które niosłem na takie okazje w plecaku.

Gdy wreszcie dotarłem na Równię pod Śnieżką przez chwilę zastanawiałem się czy jednak nie zboczyć ze szlaku i nie wejść na Śnieżkę. Dziwnym jest bowiem, że Główny Szlak Sudecki nie prowadzi przez najwyższy szczyt Sudetów.

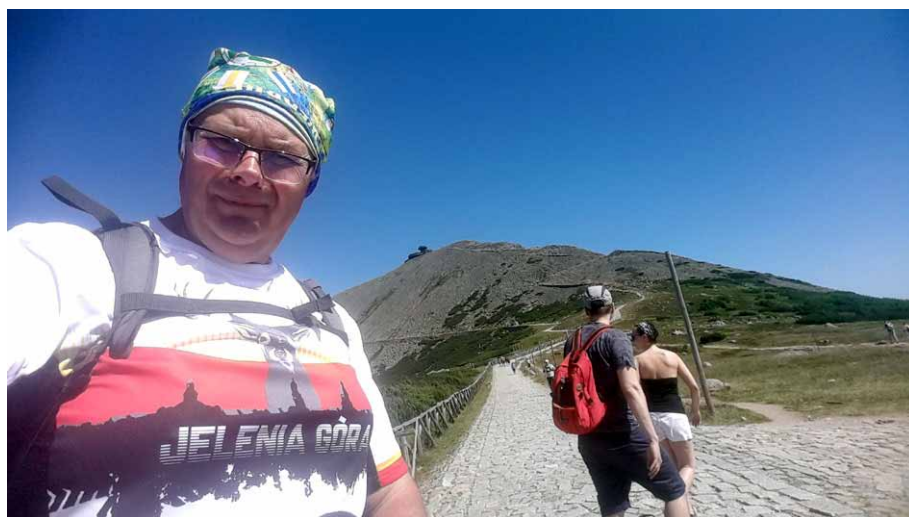
Tak naprawdę to nie ma się co temu dziwić, gdyż GSS był wytyczony w roku 1947, a wtedy każdy pojawiający się tu turysta musiał liczyć się z tym, że napotkany Wopista po prostu go zastrzeli. To były czasy,

kiedy granica była jeszcze niespokojna a w terenie grasowały bandy niemieckich oddziałów i grupy zwykłych bandytów. Dzisiaj, kiedy nie ma już granicy może należałoby pomyśleć o zmianie przebiegu tego szlaku.

Po namyśle uznałem, że nie będę nigdzie zbaczał z trasy gdyż w ten sposób do domu wrócę za kilka miesięcy. Ruszyłem zatem w dół Kotłem Łomniczki koło Symbolicznego Cmentarzyka. Minąłem miejsce gdzie kiedyś stało schronisko. Niestety pierwszej zimy po otwarciu zmiotła je lawina śnieżna. Nowe postawiono dużo niżej i dzisiaj znany je jako schronisko „Nad Łomniczką”.

W Karpaczu cieszy oko nowy budynek stacji ratunkowej wznoszony dla GOPR-u. Czekam, kiedy go oddadzą do użytku trzymając kilka ciekawych eksponatów, które im chcę ofiarować. Dalsza droga to sama przyjemność. Nie jest już tak wysoko a i nieco chłodniej. Ciekawe miejsce na trasie to Grabowiec gdzie znajdują się skałki o nazwie Ostra Mała. Tak, Ostra Mała. Tak samo jak przy Skalniku! Najlepiej jednak, jeśli się chce odpocząć, stanąć na Patelni. Znajduje się tam Czakram. Nie należy jednak odpoczynku przeciągać gdyż w nocy nie jest tu przyjemnie. Dawniej było to miejsce, w którym odbywały się sabaty czarownic.

W Mysłakowicach znajduje się wielki głaz a właściwie dwa. Pierwszy poświęcony Donatowi założycielowi RGV, drugi Mieczysławowi Orłowiczowi, działaczowi PTTK-owskiemu. To właśnie jego imię nadano GSS-owi. Nieco dalej mijamy pałac będący kiedyś letnią rezydencją królów pruskich. To tam przeniesiono pomnik Johanna Fleidla, który przyprowadził z Tyrolu uchodźców religijnych.



Drugi dzień wędrówki zakończyłem w Bukowcu, miejscowości, w której hrabia von Reden kazał swojemu ogrodnikowi stworzyć założenie romantyczne. Park ten był tak piękny, że stał się wzorem do naśladowania dla okolicznych właścicieli ziemskich.

Poniedziałek zapowiadał się równie ładnie jak poprzednie dni. Chociaż jak się później okazało powiedzenie „nie lubię poniedziałków” wcale nie jest takie bezzasadne. Najpierw, gdy tylko wszedłem na teren obsługiwany znakarsko przez Oddział PTTK Kamienna Góra, okazało się że utrzymanie szlaków nie jest już na takim poziomie jak na terenie obsługiwany przez Oddział „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze. Później okazało się, że dalsza trasa jest miejscami tak zarośnięta, że trudno się przedrzeć przez zarośla. Do tego gołym okiem było widać, że ostatnie odnawianie szlaku miało miejsce lata temu. A na każdym skrzyżowaniu trzeba było dobrze się nagłówkować by dociec którędy mamy iść dalej.

Na szczęście na Ostrej Małej zachowały się stare barierki co pozwala na bezpieczny odpoczynek połączony z podziwianiem krajobrazu. Teraz szybkie zejście do Czarnowa i znowu wspinaczka, tym razem na Liściastą. A tam niespodzianka. Gdy plumknął mi telefon okazało się, że to ostrzeżenie o burzach i opadach. Chciałem na to machnąć ręką, ale zanim to uczyniłem zaczął padać deszcz. Jak na złość nie było się gdzie schować. Po chwili coś walnęło mnie w głowę. I ponownie. Okazało się, że zaczął sypać grad o kulach wielkości żołądzi. Już dawno tak nie przemokłem. Cała nawałnica trwała może z dziesięć minut. Niestety była tak wielka, że górskie ścieżki zamieniły się w koryta, którymi płynęły rwące strumienie wody. Trudno było wejść na szczyt. Ale „najlepsze” było jeszcze przede mną. Gdy zacząłem schodzić do Szarocina poślizgnąłem się i runąłem jak długi. Jak wreszcie się pozbierałem cały ociekałem błotną mazią. Coś niesamowitego. Nie było wyjścia, trzeba było myśleć o zakończeniu poniedziałkowego etapu. Dotarłem tylko do Lubawki i dałem za wygraną.

Wtorek zaczął się nawet ciekawie. Najpierw na prośbę kolegi Jacka poszukiwałem na cmentarzu w Lubawce grobu zmarłego kilka lat temu przewodnika. Niby prosta sprawa, ale mimo pomocy kilku osób przebywających akurat na cmentarzu zajęło nam to sporo czasu. W końcu się udało.

Teraz krótki spacer do Krzeszowa. Znowu okazało się, że szlak jest w bardzo złym stanie. Na pocieszenie w miejscowości Betlejem trafiłem na ślady jeleniogórskie. W zaroślach wypatrzyłem kamienną płytę w kształcie dzika. Na niej napis: Wojskowe Koło Łowieckie „Odyniec” Jelenia Góra. Tuż przed wejściem do Krzeszowa widziałem ścieżkę rowerową wykonaną na nasypie kolejowym. Przez myśl mi przeszło, że inni mogliby się uczyć od wykonawcy tej ścieżki. Po prostu chciało się wziąć rower i pojechać nią.



Wkrótce mogłem nacieszyć się widokiem budowli wykonanych w najładniejszym stylu, jakim był barok. No, ładniejszy był tylko jego schyłek, zwany Rokoko. Bazylika krzeszowska to prawdziwe dzieło sztuki. Nawet nie trzeba specjalnie wpatrywać się w szczegóły. Sam widok budowli już wprawia w zachwyty.



Dzisiaj jednak nie miałem czasu na to, by zbyt długo zachwycać się tym widokiem. Musiałem iść dalej. Pnąłem się pod górę do kaplicy św. Anny by dotrzeć do Grzęd i dalej do Sokołowska. To długi odcinek wymagający sporego wysiłku. Samo Sokołowsko to podupadłe dzisiaj uzdrowisko. Niestety tak to już jest. Najbardziej podobało mi się tam,

gdy widząc prace budowlane na drodze zapytałem dwie starsze panie siedzące w ogródku o drogę. Pierwsza bez namysłu odpowiedziała żebym poszedł w lewo. Druga zaraz dodała: ale ta droga w prawo też jest dobra. Zapytałem zatem, która droga będzie wygodniejsza. Pierwsza krzyknęła: ta w lewo. Druga zaraz dodała: ta w prawo. No i co miałem zrobić. Poszedłem za radą pierwszej pani. W sumie okazało się, że po kilku kilometrach obie drogi ponownie się połączyły. I tak dotarłem do schroniska Andrzejówka. Tam spotkałem młodego turystę, który mijal mnie nieco wcześniej. W pewnym momencie on zbieczył ze szlaku idąc prosto, pomyślałem sobie, że idzie na skróty, ja poszedłem szlakiem w lewo. Teraz okazało się, że on się zagapił i zszedł ze szlaku a później nie chcąc wracać przedzierał się przez las.

Tymczasem pan za ladą poinformował mnie, że bufet już nieczynny i nie dostanę nic ciepłego. Trudno, przeżyję, pomyślałem sobie. Jednak, gdy skończyłem rozmawiać z moim nowym znajomym, zza lady doszło do mnie: a to ty jesteś z trasy, idziesz pieszo. To co innego, zaraz zagrzejemy ci supę. No i zrobiło się całkiem przyjemnie. Z noclegiem nie było najmniejszych problemów.

W środę chciałem dojść do kolejnego schroniska położonego poniżej Przełęczy Jugowskiej w Górach Sowich. Według mapy było to całkiem realne. Jak się jednak okazało wcale nie było tak łatwo. Najpierw miałem kilka podejść na dosyć strome szczyty, później zejście tak wymagające, że niemal zjechałem z niego. Do tego, jak się okazało, część trasy była tak zarosnięta krzakami, że trzeba było je rozgarniać by zrobić chociaż jeden krok do przodu. Szkoda, że nie miałem z sobą maczety.

To jednak wcale nie był koniec przykrych niespodzianek. Gdy podchodziłem do zamku Rogowiec natrafiłem na taśmy zagradzające dalszą drogę. Były one porozwieszane niemal na każdym skrzyżowaniu leśnych dróg ze szlakiem, którym podążałem. Z napisów na umieszczonych tabliczkach dowiedziałem się, że taśmami wytyczono kierunek jazdy dla rowerzystów. Nie rozumiem tylko dlaczego nie pomyślano o piechurach. Przecież nawet według kodeksu drogowego pieszy ma pierwszeństwo, zwłaszcza gdy korzysta z dróg wytyczonych specjalnie dla niego. Na szczęście wkrótce dotarłem do Jedliny Zdroju i wspomniane niedogodności skończyły się.

Przede mną było podejście pod Masyw Włodarza i dosyć długie zejście na Przełęcz Sokolą. Tym razem nie było już żadnych niespodzianek. Dotarłem do miejsca, w którym jak pamiętam, gdy nocowałem tam pod koniec ubiegłego wieku, miało miejsce trzęsienie ziemi, którego skutki były odczuwalne aż tutaj.

Przede mną było podejście na Wielką Sowę. Niby niedługie jednak tak strome, że po chwili miałem dosyć wspinania i z chęcią skorzystałem z miejsca wypoczynkowego by się posilić i nabrać chęci do dalszej wędrówki. Zachęcająco wyglądała Chata pod Sową, przed którą ustawiono wielką beczkę do przechowywania piwa czy wina. Dzisiaj jest ona w takim stanie, że pewnie nic by się w niej nie uchwyciło, ale dawniej musiała wzbudzać w turystach chęć



zejścia ze szlaku właśnie do tego lokalu. Ja skorzystałem z miejsca odpoczynku przygotowanego nieco wyżej przy Piwnicy pod Sową. Jak się okazało dobrze postąpiłem gdyż kolejne a zarazem ostatnie schronisko przed szczytem (Sowa) było nieczynne.

I wreszcie udało się. Wszedłem na Wielką Sowę, najwyższy szczyt Gór Sowich. A tam prawdziwy raj.

Bufet z lodami i różnego rodzaju przekąskami. Najważniejsza jest jednak wzniesiona tutaj kamienna wieża widokowa. Pamiętam jeszcze czasy, kiedy jedynym dostępnym tu napojem była woda z sokiem malinowym zaczerpnięta z wiadra, którą za niewielką opłatą serwował pan obsługujący wejście na wieżę.

Muszę powiedzieć, że tak przyjemnie nie szło mi się do tej pory jak teraz podczas zejścia z Wielkiej Sowy w kierunku Przełęczy Jugowskiej. Po drodze zapoznałem się z treścią tablicy umieszczonej na Niedźwiedzych Skałach poświęconej Hermannowi Henklowi, twórcy systemów szlaków turystycznych i autorowi map turystycznych. Dodam tylko, że to nie jedyne upamiętnienie tego wielce zasłużonego dla rozwoju turystyki w tych górach człowieka. Jego imieniem nazwano w roku 1938 schronisko, obecnie znane jako Zygmuntówka.

I właśnie to schronisko było moim kolejnym celem. To tam chciałem przenocować. Początkowo trochę się obawiałem w jakim stanie znajduje się ten obiekt, pamiętam bowiem stan obiektu z okresu kiedy spałem w nim ostatnio. Ku mojemu zaskoczeniu schronisko zastałem w bardzo dobrym stanie. Wszystko wyremontowane i odnowione, obsługa bardzo miła. Dodam, że zarówno tutaj jak i w poprzednim obiekcie honorowano zniżki przysługujące członkom PTTK z opłaconą składką członkowską. Warto zatem nosić legitymację z sobą. Trzeba tylko pamiętać, że w większości obiektów Towarzystwa chodzi się w obuwiu zamiennym, gdyż teraz każdy agent dba by w jego obiekcie było czysto i schludnie. Jedynym mankamentem jest fakt, że przevažnie płatności są realizowane tylko w gotówce. Dodam tylko, że ponownie spotkałem młodzieńca, z którym poznałem się na trasie. A do tego spotkałem kolejnego, który, tak jak ja, podążał Głównym Szlakiem Sudeckim, i to w tym samym kierunku co ja. Niestety nie mogliśmy iść razem gdyż wskutek odniesionej kontuzji musiał on skracać dzienne przejścia tak by nie sforsować kolana.

Czwartkowy odcinek trasy zapowiadał się jako dosyć wymagający. Według mapy przede mną były ciągle podejścia i zejścia. W końcu są to góry. Najpierw podreptałem na Słoneczną i Kalenicę, na której znajduje się wieża widokowa. Ponieważ jest ona zbudowana z elementów stalowych zdecydowałem się wejść na nią. Po chwili okazało się, że nie do końca jest ona taka pewna, schody zaczęły trzeszczeć i miałem wrażenie, że trochę się kołyszą. Fakt, był wtedy duży wiatr. Warto jednak było wytrzymać by zobaczyć panoramę z platformy widokowej. Tym bardziej, że widać było stąd Karkonosze ze Śnieżką.

Dalsza trasa, mimo iż serwuje nam ciągle podejścia i zejścia, była w zasadzie dosyć monotonna. Po kilku godzinach marszu dotarłem do tajemniczych murów oddzielających głęboką suchą fosę od ścieżki, po której idę. Wkrótce okazało się, że to twierdza srebrnogórska, dzisiaj uważana za największą górską twierdzę w Europie. Zbudowano ją na rozkaz króla pruskiego Fryderyka II. Najważniejszym jest fakt, że nigdy w historii obiekt ten nie został zdobyty. Jej kres to rozkaz o likwidacji wydany w 1860 roku. Jak zwykle chodziło o pieniądze, rządu nie było stać na jej utrzymanie.

Ja korzystając z okazji spotkałem się ze znajomą, która jest tutaj przewodnikiem. Ze względu na brak czasu nie mogłem skorzystać z zaproszenia do szczegółowego zwiedzania obiektu. Jak się wkrótce okazało była to bardzo dobra decyzja. Dalszy bowiem szlak był tak kiepsko oznaczony, że nie korzystając z elektroniki straciłem sporo czasu by wreszcie znaleźć szlak za krzyżówką kilku dróg. Byłem tym tak wkurzony, że gdy dotarłem do pewnego ciekawego miejsca zastanawiałem się czy może na noc nie stanąć właśnie tam. Miejscem tym było „Narodowe Centrum Leczenia Wkurwienia” w Srebrnej Górze. Na szczęście po krótkim odpoczynku przeszło mi i ruszyłem dalej. Dzięki temu szybko dotarłem do Ścinawki Średniej. Niestety na tym etapie był to koniec dobrych wiadomości. Dalej było już tylko gorzej. Najpierw idąc przez Rozdroże



w kierunku Wambierzyc okazało się, że pośrodku pola obsianego zbożem trafiłem na rozwidlenie dróg, gdzie według logiki widocznego oznaczenia szlaku skręciłem z prawo. Później, po jakiś dwóch kilometrach, okazało się, że to nie tak i zamiast do Wambierzyc dotarłem do Ratna Dolnego. Musiałem dreptać dwa kilometry asfaltem by ponownie wejść na mój szlak. W końcu, gdy dotarłem do dzisiejszego kresu mojej wędrówki było tak późno, że wszystko było już pozamykane. Szukając noclegu dotarłem do olbrzymiego budynku tuż przy bazylice. Był to Dom Pielgrzyma. Jak się jednak okazało, o godzinie 21 jest on zamykany na klucz i można

sobie dzwonić na podany przy wejściu telefon. I tak nikt go nie odbierze. Na szczęście znalazłem jakiś nocleg. Ba, nawet w bardzo fajnym miejscu. Pani była tak miła, że dała mi kilkuzłotowy upust. Jak się bowiem okazało miałem resztki gotówki a w miejscowości takiej jak Wambierzyce nie ma ani jednego bankomatu.

Niestety wizyta w Wambierzycach była dla mnie nieciekawa w skutkach. Gdy następnego dnia ruszyłem w dalszą drogę mój organizm zaczął się buntować. Z każdym krokiem stawałem się coraz słabszy. Myśląc, że to chwilowe osłabienie szedłem dalej. Wszak przede mną był Park Narodowy Gór Stołowych i Skalne Grzyby. Całe szczęście, że bywałem tu już wcześniej, bo dzisiaj wcale te piękne formy skalne mnie nie cieszyły. Po prostu szedłem przed siebie.

Przed wyruszeniem z Wambierzyc zastanawiałem się nawet czy nie zboczyć z trasy i nie wejść na Szczeliniec Wielki. Ostatnio bowiem gdy tu byłem spotkały mnie same dobre sprawy. Niestety, ze względu na wspomniane kłopoty postanowiłem iść dalej. W końcu dotarłem do Kudowy Zdroju. Po krótkim odpoczynku zdecydowałem przejść nieco dalej do Dusznik Zdroju gdzie chciałem stanąć na noc. Jednak, gdy wreszcie dotarłem tam, okazało się, że schronisko w którym chciałem przenocować jest nieco z boku trasy i postanowiłem iść dalej szlakiem w stronę Zieleńca by tam szukać noclegu. W sumie dobrze zrobiłem, bo z noclegiem nie było żadnych problemów. Niestety problemy zaczęły się z moim zdrowiem.

Byłem bardzo słaby. Posiliłem się w schronisku Orlica i ruszyłem do Spalonej. Aby tradycji stało się dosyć, zaraz po zejściu z asfaltu zaczęły się problemy z oznakowaniem szlaku. Tak jak poprzednio na każdej krzyżówce trzeba było szukać, którędy iść dalej. Trudność polegała na tym, że trasa prowadziła polami i łąkami, w których trzeba było wypatrywać ledwo widoczne koleiny. Szczytem oznaczenia był umieszczony z kilometr od krzyżówki patyk z pomalowaną końcówką na czerwono. Aby go wypatrzyć w bujnej trawie nie wystarczy sokoli wzrok. W końcu udało się. Dotarłem do schroniska Jagodna. Mogłem tam odpocząć. Niestety stan mojego zdrowia pogorszył się do tego stopnia, że musiałem rozważyć przerwanie mojej wędrowki. W końcu ruszyłem do miejscowości Długopole Zdrój, gdzie według zapewnień obsługi schroniska, miał znajdować się punkt apteczny. Niestety na miejscu okazało się, że owszem jest, ale w soboty i niedziele nieczynny. Dzisiaj była sobota i nie było szansy na zakup jakiś mocniejszych leków. To co miałem z sobą było za słabe.



W związku z tym ruszyłem dalej mając nadzieję, że odpowiednią pomoc uzyskam w Międzygórzu. Jednak każdy kolejny kilometr był dla mnie coraz trudniejszy do pokonania i gdy wreszcie dotarłem na stację kolejową Długopole Zdrój podjąłem decyzję o przerwaniu wyprawy. Uznałem, że będzie to najlepsze rozwiązanie. Nie chciałem ryzykować, że na dalszym wielokilometrowym odcinku, będąc sam na szlaku, zasłabnę i zrobię kłopot rodzinie i ewentualnym ratownikom. Wsiadłem do pierwszego pociągu, jaki nadjechał i po przesiadce w Kłodzku i Wałbrzychu, po kilku godzinach byłem w domu. Jak się okazało mój organizm został przeegrzany, nastąpiły oznaki początku odwodnienia, i wdarł się jakiś wirus. Wizyta u lekarza potwierdziła słuszność mojej decyzji.

No cóż, tym razem nie dotarłem w jednym przejściu do Prudnika. Przeszedłem jednak prawie 300 kilometrów, co pozwoliło mi na zdobycie Odznaki Głównego Szlaku Sudeckiego w stopniu brązowym i srebrnym. Mam nadzieję, że za jakiś czas dokończę przejście czerwonego szlaku i uzupełnię swoją kolekcję odznak o stopień złoty.

Najważniejsze w moim przejściu było to, że po drodze wszystkie spotkane osoby, patrząc na moją koszulkę, kojarzyły gdzie leży Jelenia Góra i wyrażały chęć przyjazdu do naszego miasta na wypoczynek. Ja zaś ze swojej strony mam nadzieję, że moja relacja, choć pobieżna, przyczyni się do chęci wyruszenia na Główny Szlak Sudecki przez kolejnych turystów. Oczywiście po powrocie postarałem się zadbać o to, by moje krytyczne uwagi dotyczące złego stanu oznaczenia GSS-u, dotarły do osób odpowiedzialnych za utrzymanie szlaku na poszczególnych odcinkach podległych kolejnym Oddziałom PTTK.

Krzysztof Tęcza

Zielony szlak w Modliszowie

Gdzie leży Modliszów? Na Pogórzu Wałbrzyskim, dość blisko Wałbrzycha, jednak już w powiecie świdnickim. Przez tę malowniczo położoną miejscowość przebiega zielony Szlak Zamków Piastowskich. Jak wygląda fragment tej znakowanej trasy pieszej pomiędzy tablicami z nazwą Modliszowa stojącymi odpowiednio: przy gruntowej drodze z Pogorzały oraz przy szosie łączącej tytułową wieś ze Złotym Lasem?

Wspomniana tablica od strony miejscowości o nazwie Pogorzała znajduje się na wysokości ok. 400 m n.p.m. Na jednym ze słupków, do których jest ona przymocowana, widnieje też znak wymienionego szlaku. Gruntowa droga jest tu nieco utwardzona skalnymi odłamkami. W kierunku budynków tytułowej wsi prowadzi ona – tak jak i szlak – najpierw nieco w dół. Zaraz też przebiega nad nią linia energetyczna. Na skraju lasu znakowana trasa przekracza dolinkę potoczku płynącego w stronę zabudowań Witoszowa Górnego. Od tego miejsca gruntowa nadal droga, – wzdłuż której widoczne są nie tylko znaki zielonego szlaku pieszego, ale i żółtego rowerowego – zaczyna wznosić się do góry. Po deszczach tu i ówdzie pojawić się mogą kałuże. Może być wówczas trochę błota. Nieco dalej i zarazem wyżej zaczynają się pierwsze od tej strony zabudowania Modliszowa. Odcinek gruntowy drogi się kończy a zaczyna asfaltowy. Budynki wsi leżą zarówno po jej prawej jak i lewej stronie. Niektóre wyraźnie powyżej niej. O tym, że wędrowców chcących poznać modliszowski odcinek Szlaku Zamków Piastowskich czeka tu nadal marsz pod górkę niech świadczy znak ostrzegawczy A-23 „stromy podjazd”. Taki, bowiem znajduje się tu przy drodze.

Turystów jednak bardziej niż ww. znak drogowy zainteresować może położony jeszcze dalej kościół pw. św. Bartłomieja. Co prawda nie znajduje się on przy samej drodze, wzdłuż której widoczne są znaki zielonego szlaku, jednak warto go zobaczyć. Żółte ściany zewnętrzne i drewniana sygnaturka z krzyżem to nie wszystko, co rzuca się w oczy. I to nawet przy krótkim oglądaniu tej świątyni. Wspomniany krzyż wieńczący namiotowy daszek sygnaturki nie jest jedynym w zewnętrznej, górnej części budowli. Zwracają tam, bowiem uwagę także – a może przede wszystkim – trzy kamienne krzyże.

Szlak wiedzie tymczasem nadal pod górkę, mijając kolejne



Droga łącząca Pogorzałę z Modliszowem



Kościół pw. św. Bartłomieja w Modliszowie

zabudowania wsi. W końcu jednak nachylenie drogi się zmniejsza. Robi się bardziej płasko. Po prawej stronie rzuca się w oczy pewien pomnik, nieco dalej zaś budynek świetlicy wiejskiej. I tak oto zielony szlak osiąga prawie skrzyżowanie szos. Droga, wzdłuż której umieszczone są jego znaki, w tym miejscu przecina się z drogą wojewódzką nr 379 łączącą Wałbrzych ze Świdnicą.

Blisko skrzyżowania znajduje się przystanek autobusowy z wiatą. Według stanu na początek lipca 2019 r., tylko w dni robocze, cztery razy na dobę można stąd odjechać do Świdnicy autobusem linii 10. Z kolei ze Świdnicy autobusem tejże linii da się tu dojechać wyłącznie w dni robocze trzy razy na dobę. Był też czas, że dojeżdżał tu autobus linii 34 z Wałbrzycha. Wiele lat wcześniej, w numerze 242. „Wałbrzyskiego Słowa Polskiego” z 2 września 1948 r., ukazał się artykuł pt. „Puste domy czekają aż autobus przywiezie lokatorów”. Jego autor, podpisany, jako (ch. M), wspominał o budynkach w Modliszowie, które nadawały się do zamieszkania. Wskazał jednak, że wcześniej zasadne byłoby uruchomienie połączenia autobusowego z tą miejscowością. Kto wie, może z takiego połączenia skorzystano by wówczas także w celu odbycia autobusowej wycieczki? Widokowa trasa przejazdu mogłaby zaciekawić na przykład nowych mieszkańców Wałbrzycha. A może nawet jakichś turystów z innych stron Polski, zainteresowanych poznaniem tego fragmentu Sudetów?

To, co napisano powyżej nie jest oczywiście pełną historią komunikacji autobusowej do Modliszowa. Ale nie to przecież jest głównym tematem tego artykułu.

Wiąta przystankowa to też nie wszystko, co można zobaczyć z rejonu wspomnianego skrzyżowania. Po drugiej stronie drogi nr 379, obok znaku przystanku autobusowego, rzuca się w oczy kamienny krzyż z wnęką.

Czy to wszystko, na co warto zwrócić uwagę w rejonie tego skrzyżowania? Nie wszystko. Dlaczego? Już, bowiem stąd można zobaczyć, że tuż za nim szosa w stronę Złotego Lasu prowadzi wyraźnie w dół. Tak wie dzie też tytułowy szlak i wspomniany rowerowy. Skoro biegną one w dół to można przypuszczać, że w stronę jakiejś doliny. I słusznie. Ale to przecież nic osobliwego. Co więc mam tu jeszcze na myśli? Wyjaśnię pod koniec tego tekstu.

Tymczasem, za skrzyżowaniem, obok szosy stoi kilka znaków drogowych, w tym ostrzegawczych. Wśród nich znak A-22 „niebezpieczny zjazd”. Droga dalej biegnie dość stromo w dół, nadal też wśród zabudowy. W końcu obszar zabudowany się kończy, a droga, – wzdłuż której płynie potok, będący dopływem Złotnicy, zwanej inaczej Złotym Potokiem – wkracza do lasu. Rzucają się w oczy dwie tabliczki D-43 „koniec obszaru zabudowanego”. I już nieco dalej widać zieloną tabliczkę z białym napisem „Modliszów” oraz czerwoną linią go przekreślającą. Tak się kończy, zakreślony na początku tego artykułu, odcinek tytułowej trasy. Szlak zielony oczywiście się nie kończy i prowadzi dalej. Formalnie przez pewien czas jeszcze w Modliszowie. No, ale miało być od tablicy do tablicy.

Koniec tekstu się zbliża, pora, więc na wyjaśnienie, o którym napomknąłem. Najpierw jednak małe podsumowanie. Szlak od strony wspomnianej na początku tablicy (przy drodze z Pogorzały) prowadzi najpierw w dół – do doliny potoczku. Później pod górkę. Tak też jest i dalej, już wśród budynków Modliszowa. W centralnej części zabudowy miejscowości doprowadza do bardziej płaskiego terenu. Później znów, jeszcze wzdłuż budynków, prowadzi w dół, a dolinka zaczyna się pogłębiać. Czy taki krajobraz kojarzy się Państwu – w pewnym zakresie rzecz jasna – z jakimś wschodniosudeckim pasmem górskim? Mnie nieco z Niskim Jesionikiem. Warto, bowiem zauważyć, że tak jak zabudowa wielu niskojesionickich miejscowości tak i zabudowa Modliszowa położona jest podobnie. Są miejscowości, czy też ich części, w ww. mezoregionie Sudetów Wschodnich, których budynki, co do zasady leżą poza dolinami znacznie niżej płynących rzek czy potoków lub też takie, gdzie początki górnych części dolin znajdują się praktycznie wśród zabudowań. Przykładem niech będzie Pohoř – część miasta o nazwie Odry (nie Odra!). Kletenský potok bierze tam początek blisko samych zabudowań. W innej części Pohořy, też w pobliżu budynków, choć nieco dalej od nich, zaczyna się znów dolina Złotego potoku. Kilka domostw leży zaś na przewyższeniu terenu, pomiędzy tymi dolinami.

Podobny – oczywiście nie całkiem – układ osadniczy ma tytułowa wieś. A na pewno inny niż wiele okolicznych miejscowości. Doprawdy godne jest to zobaczenia. Dodam, że tutejszy krajobraz jest, – co tu dużo pisać – po prostu piękny. Warto, więc tu zawitać. Na koniec jedno, o czym zawsze należy pamiętać wędrując szlakami, których znaki umieszczone są wzdłuż dróg, w tym tych, koło których nie ma chodników – uwaga na pojazdy. Informacja jak najbardziej aktualna i do powyższej trasy.

Bartosz Skowroński

50 lat gazdowania na Hali Lipowskiej

W górach jest wszystko, co kochają górolazi! Pozwoliłem sobie trochę zmodyfikować wers Harasymowicza, by mówił o odczuciach wszystkich, którzy kochają góry. Uściślę – górolazem nazywam osobnika, który kocha góry i wędrowkę po nich, bez żadnych dodatkowych warunków. Po prostu – są góry, więc on, z siebie tylko wiadomych, a być może nawet nieuświadomianych, powodów, po nich łązi, co w zasadzie wystarcza mu do szczęścia. Ale jest w górach coś jeszcze, co dodaje im smaku i kolorytu, co sprawia, że włóczęga po nich smakuje bardziej – podobnie, jak lepiej smakuje dobrze przyprawiona zupa. To coś, to schroniska górskie. Nie chodzi tylko o możliwość przenocowania czy przeczekania złej pogody. W schronisku panują mikroklimaty, których nie da się jednoznacznie słowami opisać, ale które, dla górolazów są właśnie tą przysłowiową solą. Włóczęgą się po górach byłem w wielu schroniskach, w jednych czułem się dobrze, w innych może trochę gorzej – jak to w życiu. Ale już wiem, że ten przysłowiowy klimat w schronisku nie bierze się z przypadku. On w największym stopniu zależy od gospodarza – to on nadaje schronisku tego czegoś, dzięki czemu górolaz chce tu wrócić...i, wraca!

Ja lubię wracać tam, gdzie byłem już (znów cytaty), zwłaszcza tam, gdzie czułem się dobrze. Tu byłem wiele razy, ostatnio w lipcu ubiegłego roku. Już wtedy postanowiłem, że podczas mojej zimowej wędrowki po Beskidzie Żywieckim znów tu zawitam. I jestem. Jest lutowy wieczór, za oknem zima niezwykła, a ja, człowiek tymi okolicznościami spełniony, siedzę w klimatycznej jadalni schroniska na Hali Lipowskiej przy jednym stole z... Panią Marią Gowin, gospodynią tego schroniska. Jestem zaszczycony – Pani Maria, znana powszechnie, jako Helena, gazduje na Hali Lipowskiej pół wieku! W tym roku jubileusz! Są jeszcze z nami przyjaciele z Bielska-Białej, rozmawiamy z Heleną o jej życiu, o jej pasjach w kontekście jej miłości i szacunku do gór i górolazów.

– *Mój mąż, rodowity Żywieczanin, był człowiekiem gór. Chodził po nich, chodził i poznawał je, by wreszcie – myślę, że takie miał zamiary chyba od dziecka – zostać ratownikiem GOPR i przewodnikiem PTTK. Dość rzadko bywał w domu.*

Pani Helena uśmiechnęła się i pokiwała głową.

– *Zawsze chciałam pracować z dziećmi. Jako młoda nauczycielka pracowałam w klasach 1-4. A tu Zbyszkowi zamarzyło się zostać gospodarzem w schronisku górskim. Gdy trafiła się okazja na Hali Lipowskiej, nie było odwrotu. Cóż, nie mogłam dopuścić do osobnego życia – poszłam za Zbyszkciem.*



Zawsze życzliwa turystom Maria Gowin

Rozpoczęliśmy gazdowanie na Hali Lipowskiej 1 października 1969 roku. Od tamtego pamiętnego dnia jestem tu nieprzerwanie.

– Z prostych rachunków wynika, że za siedem miesięcy, z niewielkim okładem, będziesz obchodzić 50-lecie pracy w schronisku na Hali Lipowskiej. 50 lat to naprawdę szmat czasu. Na pewno nagromadziło się mnóstwo doświadczeń, a i wspomnień bez liku...

– *Wspomnień jest na wiele takich posiadów. Dla mnie jest ważne, że chcę zapamiętywać te miłe chwile i je wspominać. Zdarzały się momenty złe, trzeba je pamiętać, by nie popełniać tych samych błędów, ale wolę wspominać te miłe. Taka już jestem. Mieliśmy tu zawsze bardzo dużo pracy, remonty, przebudowy... To temat na osobną rozmowę. Ktoś żartem zauważył, że zastaliśmy schronisko drewniane, a jest murowane. Może miał na myśli robotę w stylu Kazimierza Wielkiego – Helena zaśmiała się. – Królewskich ambicji to my nie mieliśmy, ale to skojarzenie było dla nas miłe. Jedno jest ważne – w tym nawale prac, remontów, usprawnień zawsze mieliśmy na względzie po pierwsze to, by ich efekty jak najlepiej służyły turystom. Trochę pewno było w tym i normalnego egoizmu, ale tego pozytywnego – no, bo jeśli turyści są zadowoleni, to my tym bardziej! Dla dobrego samopoczucia gospodarzy ważne jest, by turyści, a zwłaszcza, jak ty to mówisz, górolazi, dobrze nas wspominali i chcieli do nas wrócić.*

– Ja tu na pewno wrócę, choćby na Twój złoty jubileusz.

– *Zbyszek odszedł w 1999, 9 kwietnia. Jeszcze wspólnie planowaliśmy organizację 30-lecia gazdowania. No, nie wyszło. Zostałam tu sama, ale w jakiejś wewnętrznej wspólnocie ze Zbyskiem, wiedziałam, że On by tak chciał. Pomagały mi dzieci, córka i zięć, a teraz już wnuki, które praktycznie przejęły ten „interes rodzinny”, bo tak właściwie należałoby to nazwać.*

Na chwilę przestaliśmy rozmawiać o pracy. To była chwila dla wspomnień – o różnych gościach, bardzo nieraz oryginalnych, o wesołych, nieraz wyjątkowych chwilach – a więc o tym, co tworzy tę niepowtarzalną atmosferę. To o tym wieść się niesie, to takie momenty tworzą legendę.

– *Kasia pracuje tu już 22 lata, jakoś wytrzymuje, to znaczy, że jej się tu chyba podoba, i, że ma fajną szefową...*

Spojrzałem na Helenę – z jej twarzy, z jej ruchów, z całej jej postaci emanuje spokój i ciepło – nie dziwię się Kasi. Gdybym ja tu pracował, też nie chciałbym odchodzić! Z takiego schroniska, od takiej szefowej?!

– *Teraz gospodarzem na Hali jest wnuk Jakub. Ja tu tylko rezyduję, no, może nie tylko, ale tu jestem – tu jest mój dom.*

– I tu będziesz obchodzić swój niezwyklej jubileusz – jesteś rekordzistką, jeśli wziąć pod uwagę długość okresu gazdowania w jednym schronisku.

– *Tak się stało. Nikt z nas nie przypuszczał, że to będzie tak długo trwało.*

– A na tym pewno się nie skończy...

– *Tego nie wiem. Nie wiem też, jak będzie wyglądać ten jubileusz. To już nie ja będę organizować. Ale ci-sza, jaka w tym temacie panuje, jest trochę podejrzana, więc myślę, że będzie się działo. Na 40-leciu było mnóstwo gości – starzy znajomi, gospodarze innych schronisk, przewodnicy, ratownicy, różni oficjele – było miło. Co będzie teraz, zobaczymy. Jubileusz przypada 1 października tego roku, to wtorek. Drzwi naszego schroniska będą dla wszystkich otwarte!*

Ja, niżej podpisany, przyjadę. Wezmę gitarę, by zaśpiewać Helenie piękną piosenkę Starego Dobrego Małżeństwa, p.t. Ballada z gór – jest w niej językiem poety wszystko, co najważniejsze o górach i schroniskach; temu właśnie przez wszystkie te lata hołdowała i była wierna Helena.

Sławomir Chojnacki
Luty – kwiecień 2019 r.



Koleją w góry 2019

Można powiedzieć, że „coś drgnęło” w kwestii komunikacji kolejowej w góry i w górach. Oczywiście, jak zwykle w sezonie urlopowo-wakacyjnym uruchamiane są pociągi TLK i IC z największych miast do Zakopanego, Krynicy Zdrój i Szklarskiej Poręby, choć ta oferta wcale nie jest zbyt bogata, a na pewno dość skomplikowana. Niektóre duże miasta nadal są pozbawione bezpośredniego dojazdu na południe Kraju, pociągi kursujące od lat 70-tych do końca 90-tych XX wieku wciąż są tylko obiektem wspomnień. Z rozrzeniem wspominam pociągi relacji Gdynia – Krynica Zdrój, czy Ełk – Olsztyn – Zakopane. Wsiadałem w moim Toruniu i po nocnej podróży wysiadałem w Rytrze lub Muszynie, w Suchej Beskidzkiej lub w Jordanowie. Mogłem wsiąść w Toruniu późnym wieczorem i wysiąść w Wałbrzychu. Pamiętam też pociąg do Kudowy, czy do Szklarskiej. Nigdy nie zrozumieć dlaczego zlikwidowano te połączenia. Bywa też, że jeden i ten sam pociąg pokazywany jest w nowym rozkładzie jazdy nawet w czterech pozycjach, z różnymi datami kursowania. Jest nawet taki, który jest pokazany w ośmiu pozycjach (!). Co ciekawe godzina odjazdu ze stacji początkowej jest zawsze ta sama, ale godzina przyjazdu różna w 6 pozycjach rozkładu. Ten „cud rozkładowy” to IC Rejewski relacji Bydgoszcz – Warszawa Wschodnia. Kto wie, czy nie ma więcej takich wspaniałych rozwiązań znakomicie „ułatwiających” pasażerom planowanie podróży. Trzeba bardzo uważnie czytać rozkład, żeby go zrozumieć. Pomyśleć, że w latach 60-tych i 70-tych XX wieku wystarczyło kupić Sieciowy Rozkład Jazdy i można było „bez pudła” korzystać z niego przez wiele lat. Po prostu jak już pociąg był w rozkładzie to jeździł niezmiennie nawet przez lat 10. Wystarczyło przyjść na dworzec i kupić bilet. Komu to przeszkadzało? Teraz trzeba spędzić sporo czasu grzebiąc w internetowych rozkładach, by nie zostać z walizką na peronie.

Będąc już w górach można było liczyć na lokalne połączenia i pociągi przemierzające górskie linie kolejowe. Było tak w Beskidach i Sudetach. Lata 90 położyły kres temu „rozpasaniu”. Współcześnie powoli i w bólach rewitalizuje się szlaki kolejowe i przywraca połączenia, jednak do zadowalającego stanu jest jeszcze daleko. Zajrzałem do nowego rozkładu jazdy pociągów, by zorientować się w możliwościach korzystania z kolei w górach. Pomijam połączenia dalekobieżne, z nielicznymi wyjątkami pociągów IC i EIC.

I tak w wakacje będzie można korzystać z pociągów Katowice–Zakopane wyjeżdżające z Katowic o godz. 3.37 (TLK), 7.15 (oso. Koleje Śląskie www.kolejeslaskie.pl), 9.40 (EIC 1-19.07) i 17.44 (IC). Tę informację podaję za internetowymi rozkładami jazdy, radzę jednak upewnić się, czy na pewno jest aktualna, ponieważ jak mówią mądrzy ludzie *pewna jest tylko śmierć i podatki*. Z Krakowa Głównego do Zakopanego pojadą pociągi osobowe o 8.12 (Koleje Małopolskie www.malopejskiekoleje.pl), 8.16 (Regio) i 18.24, a TLK, EIC i IC odpowiednio o godz. 3.37, 9.40 i 17.44. To też trzeba sprawdzać na bieżąco.

Dla turysty przebywającego już w górach – w Gorcach, Pieninach, Beskidzie Wyspowym przydatne mogą być pociągi umożliwiające przerwienie się z Nowego Targu do Zakopanego, by po „rozgrzewce” w niższych górach ruszyć w Tatry. Można korzystać z jeżdżących wahadłowo pociągów Nowy Targ – Zakopane – Nowy Targ Podhalańskiej Kolei Regionalnej. Jest to kilkanaście par pociągów w ciągu doby. Możliwości na tej trasie uzupełnia kilka TLK, IC i EIC. *Inforail* informuje ponadto: *Od 22 czerwca do końca wakacji na linii Kraków – Zakopane będzie kursowało 14 połączeń na dobę (...) Pociągi pojadą wyremontowanymi odcinakami torów. Po zakończeniu prac czas podróży kolejną na tej linii skróci się o ponad godzinę, do blisko 2h 15 min. (...) Na trasie kolejowej prowadzącej pod Tatry zostało już przebudowanych dziewięć stacji i przystanków: Rzozów, Radziszów, Wola Radziszowska, Podolany, Leńcze, Przytkowice, Kałwaria Zebrzydowska Lanckorona, Stronie, Stryśzów. Obiekty zostały oświetlone i wyposażone w nowe wiaty i ławki oraz nowe tablice informacyjne. Powstały też ułatwienia dla osób niepełnosprawnych.*

Dojazd w Beskid Śląski i Żywiecki umożliwią pociągi relacji Bielsko-Biała – Zwardoń i Bielsko-Biała – Żywiec. Do Zwardonia jest to 10 pociągów, do Żywca 13 od 6.41 do 18.38. Korzystając z porannych połączeń można o sensownej porze wysiąść na którejś z beskidzkich stacji i ruszyć w góry. Podobnie wyglądają możliwości powrotu z górskiej wyprawy.

Niewątpliwą atrakcją i jednocześnie kolejną możliwością dostania się w góry kolejną są pociągi retro uruchamiane przez Koleje Galicyjskie. Przemierzają one żelazne drogi Beskidu Sądeckiego i Wyspowego, co kiedyś było codziennością. Przy okazji „podróży sentymentalnej” można zabytkowym składem z parowozem pojechać do wybranej stacji. Bilety kosztują 30 i 65 zł w zależności od relacji. I tak pociągi z Nowego Sącza do Chabówki pojadą 7, 14, 21 i 28 lipca. Z Nowego Sącza pojadą Doliną Popradu do Krynicy Zdrój przez Rytro, Piwniczną i Muszynę 4 i 11 sierpnia. 15 sierpnia pojedziemy z Chabówki do Zakopanego i z Zakopanego do Poronina. Kolejne pociągi z Nowego Sącza do Krynicy Zdrój pojadą 18 i 25 sierpnia i 21 września. Wrześniowe pociągi pojadą na trasie Nowy Sącz – Stróże – Gorlice – Biecz (22.09) i z Tarnowa do Tuchowa (28.09) oraz z Tarnowa do Żabna (NOWOŚĆ! 29.09). Szczegóły rozkładów jazdy można poznać na stronie www.kolejgalicyjskie.pl Ponadto wyruszą **weekendowe pociągi na przepięknej „wyspowej” trasie z Chabówki do Kasiny Wielkiej.** Będą to dwie pary pociągów 6 i 7, 13 i 14 oraz 27 i 28 lipca, a także 3 i 4, 10 i 11, 17 i 18 oraz 24 i 25 sierpnia. Poranny pociąg wyruszy z Chabówki o 9.00, popołudniowy o 13.45.

Między Muszyną Zdrój a stacją Poprad Tatry do 1 września jeżdżą w soboty i niedziele po 2 pary pociągów. Można je wykorzystać do sobotnio-niedzielnego wypadu na Słowację. Portal **Inforail** podaje: (...) *po blisko 10-letniej przerwie rozpoczną kursowanie pociągi pasażerskie przez polsko-słowackie przejście graniczne Muszyna – Plaveč. W każdy wakacyjny weekend od 29 czerwca do 1 września Koleje Słowackie (ZSSK) we współpracy z Kolejami Małopolskimi uruchomią dwie pary pociągów (rano i popołudniu) w relacji Poprad Tatry – Muszyna. Kursy te będą skomunikowane z wybranymi pociągami jadącymi z Krakowa do Muszyny i z powrotem.*

Z Nowego Sącza do Krynicy także dojedziemy pociągiem, a każda stacja na tej linii jest znakomitym punktem wypadowym w Beskid Sądecki. W dalszej perspektywie jest plan przywrócenia regularnego ruchu pasażerskiego między Chabówką a Nowym Sączem, ale na to trzeba jeszcze poczekać ładnych kilka lat, wymaga to rewitalizacji całego szlaku i jego infrastruktury.

Tymczasem portal **Inforail** informuje: *Od kwietnia 2019 roku oferta kolejowa powiększyła się o trzy składy pociągów relacji Nowy Sącz – Rytro, wydłużonych do Piwnicznej, dwie pary pociągów relacji Tarnów – Piwniczna, wydłużonych do Muszyny, jeden pociąg z Nowego Sącza przez Tarnów do Muszyny, jeden pociąg Tarnów – Nowy Sącz-Piwniczna. W sumie uruchomiono osiem nowych pociągów relacji Nowy Sącz – Piwniczna – Nowy Sącz oraz jeden nowy pociąg z Nowego Sącza do Muszyny.*

Turyści wędrujący w pasmach i grupach górskich Dolnego Śląska też mogą przemieszczać się między nimi korzystając z kolei. Dynamicznie rozwijające się **Koleje Dolnośląskie** rozszerzają sieć połączeń i przywracają komunikację kolejową w regionie. Mamy np. weekendowe pociągi Wrocław – Wałbrzych Miasto – Jelenia Góra – Adrspach. Do Czech można pojechać pociągami z Wrocławia do Lichkova przez Kłodzko i Międzylesie. Szklarska Poręba ma codzienne połączenie kolejowe z Harrachovem, a pociągi jadą co godzinę. W góry dojedziemy pociągami relacji Legnica – Kudowa Zdrój (z przesiadkami), Wrocław – Wałbrzych – Szklarska Poręba, Wałbrzych – Nowa Ruda – Kłodzko – Kudowa Zdrój i Wrocław – Kudowa Zdrój – Kłodzko. Korzystając z tych linii kolejowych dotrzemy w różne grupy górskie Sudetów. Warto na bieżąco sprawdzać sytuację na Dolnym Śląsku gdyż na niektórych odcinkach funkcjonuje autobusowa komunikacja zastępcza Kolei Dolnośląskich. Tak jest w przypadku dojazdu do Kudowy i Dusznik – z Kłodzka Gł. jedziemy zastępczym autobusem. Inne połączenia umożliwiają dojazd w rejony pogórzy.

Powyższy tekst nie wyczerpuje tematu. Chcę jedynie zwrócić uwagę, że niekoniecznie trzeba korzystać z własnego samochodu. Co prawda umożliwia on dojazd niemal wszędzie, ale gdy wybieramy się na wielodniową wyprawę musimy wrócić w miejsce, gdzie zostawiliśmy samochód. Często nie jest to takie proste, np. w sytuacji kiedy wyprawę zaczynamy w jednej grupie górskiej, a kończymy w innej, w dolinie nie mającej bezpośredniego połączenia komunikacją publiczną (lub prywatną) z miejscem startu. Tak jest choćby w przypadku, gdy wędrowkę w Beskidzie Sądeckim zaczynamy w Krynicy Zdrój, a kończymy w Szczawnicy. Trzeba się sporo natrudzić, by dostać się do samochodu zostawionego na parkingu w Krynicy. Korzystając z dostępnych w sieci rozkładów jazdy można zaplanować sobie trasę wędrowki z wykorzystaniem lokalnych połączeń kolejowych, choćby krótkich przejazdów tak, by kończyć część trasy na jakiejś stacji, przejechać kawałek i ruszyć w góry na kolejny etap wyprawy. Potrzebne są do tego dwie rzeczy: internetowy rozkład jazdy (autobusowy także) i mapa www.mapa-turystyczna.pl

Juliusz Wysłouch

Alpejski Breintenberg z historyczną niespodzianką

W czasie wędrówki w masywie szczytu Breintenberg, dominującego nad miejscowością Pfronten, nie do końca zdałem sobie sprawę z jego miejsca w historii źródeł alpinizmu w bawarskim regionie Allgäu, a może i więcej – w samych Alpach? Nie wypowiadam się również autorytatywnie nie znając historii alpinizmu alpejskiego, dlatego pozwolę sobie na osobiste refleksje po przeprowadzonej na miejscu kwerendzie.

W latach 1817–1819 geodecy niemieccy i austriaccy dokonali pomiarów wysokości ważniejszych szczytów. Mniej więcej w tym czasie wzrosło zainteresowanie turystyką, zarówno wycieczkową jak i tą bardziej ekstremalną.

W podalpejskich miejscowościach powstawały lokalne stowarzyszenia i kluby alpinistyczne. W jednym z pierwszych wydanych przewodników turystycznych dla Bawarii już w 1865 roku radzono, by po zwiedzeniu królewskich zamków i pałaców w okolicy Füssen, zainteresować się i nie przegapić atrakcji Pfronten, sąsiedniej miejscowości. Miejscowa gazeta „Füssener Blatt” w 1883 roku wprost zalecała, by turyści podejmujący wędrówki górskie



Loisel Rindfleisch



Członkowie klubu alpejskiego z Pfronten w schronisku



Aggenstein Pfrontener Hütte

w paśmie Pfrontener wcześniej zamawiali sobie kwatery, aby nie byli niemile zaskoczeni po przyjeździe, że są już zajęte.

W 1889 r. w tej części Alp Allgäu, w masywie szczytu Aggenstein (1986 m), zbudowano pierwsze schronisko Aggenstein Pfrontener Hütte, a jego pierwszym gospodarzem został Loisel Rindfleisch, wielce zasłużona postać. Był pierwszym przewodnikiem górskim we Pfronten, pewnie i prekursorem alpinizmu w tym regionie, ale to nie wszystko. Turystyka górską tak dynamicznie zaczęła się rozwijać, że tenże Loisel Rindfleisch wpadł na pomysł i założył w ramach miejscowego Czerwonego Krzyża pogotowie ratunkowe, które można przyrównać do tatrzańskiego. Z tym, że projekt naszego pogotowia zrodził się nieco później w 1908 r., po tragicznej śmierci pod lawiną Mieczysława Karłowicza, przypomnę tylko, ostatecznie założone zostało 29 października 1909 r. z siedzibą w zakopiańskim Dworcu Tatrzańskim, a jego pierwszym naczelnikiem został Mariusz Zaruski.

Na terenie Hochalpe, w pobliżu dolnej stacji wyciągu krzesełkowego Hochalpbahn, a powyżej górnej stacji kolejki gondolowej Breitenbergbahn, znajduje się obecnie alpejska gospoda, z rozległym tarasem widokowym, rustykalną jadalnią i bufetem. Wcześniej w tym miejscu stało schronisko Aggenstein Pfrontener Hütte. Przypatrując się budynkowi gospody i porównując z archiwalnymi zdjęciami schroniska można dopatrzeć się pewnego podobieństwa, a przynajmniej w niektórych jego fragmentach.

Gospoda z bliska



Aggenstein Pfrontener Hütte z drugiej strony



Gospoda na miejscu schroniska Aggenstein Pfrontener Hütte





**Stare schronisko Ostler Hütte
w 1929 r. i jego twórcy
Otto Eberle, Hans Schneider,
Gust Eberle i Franz Haff**

Drugie schronisko Ostler Hütte na szczycie Breintenberg (1838 m) powstało w 1929 r. zbudowane przez Otto Eberle, Hansa Schneidera, Gusto Eberle i Franza Haffa, członków klubu alpejskiego we Pfronten. Pierwotna drewniana buda nie ma nic wspólnego z widokiem obecnego schroniska, być może uchowała się – w jakiejś jego

części – w postaci budynku gospodarczego, znajdującego się parę metrów poniżej.

Tyle moich refleksji historycznych z wędrowki po Alpach Allgäu, w masywie szczytu Aggenstein, które są pogłębioną wersją reportażu z lipcowego numeru pisma. Dziękuję Markusowi Reithäuslerowi za pomoc w zawiłościach tłumaczenia materiału zebranego podczas kwerendy.

Ryszard M. Remiszewski



Schronisko Ostler Hütte obecnie

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Dawid Garedża – pustynny klasztor

Południowa część Kahetii, obejmująca pogranicze Gruzji i Azerbejdżanu, to suchy, półpustynny obszar stepowy położony na wysokości 700-1000 m n.p.m., z bardzo ubogą roślinnością. Obecna urozmaicona rzeźba terenu, na którą składają się dość wysokie, często skaliste grzbiety porozdzielane głębokimi wąwozami lub szerokimi dolinami, bezwodnymi przez większą część roku, jest wynikiem intensywnej erozji wodnej w okresach intensywnych deszczy (wiosną) i erozji wietrznej (w pozostałych porach roku). Poza krótkim okresem wiosennego dostatku wody, kiedy ujrzymy tu soczystą zieleń traw i ziół, do jakiej jesteśmy przyzwyczajeni w naszych szerokościach geograficznych, przez pozostałe miesiące królują tu odporne na suszę trawy i kolczaste krzewy. W tak niegościnną okolicę w VI w. dotarł chrześcijański mnich imieniem Dawid. Według tradycji należał on do grupy Trzynastu Ojców Syryjskich, pochodzących z Syrii, których przybycie do starożytnego Królestwa Iberii zapoczątkowało na terytorium dzisiejszej Gruzji



W klasztorze Dawid Garedża.

rozwoj monastycyzmu. W jednej z naturalnych grot Dawid urządził swoją pustelnię. Wkrótce w wydrążonych obok w miękkiej skale pomieszczeniach osiedli kolejni mnisi, tworząc pierwszy klasztor.

Według wszystkich przewodników zespół klasztorny Dawid Garedża wart jest bezwzględnie zobaczenia. Tak, więc rankiem pakujemy się w Tbilisi do naszego busika i wyruszamy na południe. A właściwie najpierw na wschód do Sagaredzo, gdzie dopiero odbijamy w lokalną drogę ku południowi. Gdy tylko przekroczyliśmy rzekę Iori krajobraz zmienił się gwałtownie. Zniknęły pola i ogrody, zniknęli przydrożni sprzedawcy arbuźów i melonów. Drzewa stały się rzadkością. Pastwiska ustąpiły miejsca suchym łąkom, a rzeźba terenu zaczęła się urozmaicać. Dopiero po dłuższym czasie zdałem sobie sprawę z tego, że zmieniły się także dostrzegane kolory: zniknęła zieleń, a jej miejsce zajęły wszystkie odcienie żółci, szarości i brązów. Pozostał tylko błękit nieba, coraz jednak bledszy w miarę, jak słońce wznosiło się coraz wyżej, a wraz z nim i słupek rtęci w termometrze.

Po przekroczeniu dość wysokiego grzbieta wąska asfaltówka, miejscami w permanentnym remoncie (!), obniża się ku osiedlu Udabno. To przerażające miejsce, straszące dziś całymi ulicami pustych domostw, powstało w latach 50. ub. wieku na skutek jednej szaleńczej decyzji władz ówczesnego Związku Radzieckiego. Na jej mocy



Kompleks Dawid Garedża z góry.

osiedlono tu kilkuset górali z Kaukazu. W ramach wielkiego kołchozu mieli zajmować się pasterstwem, ale nie potrafili odnaleźć się na tych jałowych równinach pozbawionych nie tylko lasów, ale i zwykłych pastwisk, na których każda kropla wody musiała być pompowana z podziemnych ujęć. Gdy upadł Związek Radziecki i nagle zniknęły fundusze na dopłaty do tego mało intrygującego interesu, upadł i kołchoz. Ludzie uciekli. Zostały domy, z powybijanymi szybami w oknach, wśród których bląkają się bezpańskie psy. Światelkiem w tunelu jawią się turyści: przy drodze w sezonie działają dwa zajazdy, w których można się posilić tradycyjnymi gruzińskimi potrawami i napojami (w tym coca-cola z lodówkami...). Jeden z nich prowadzą Polacy!

Na końcu drogi mile zaskoczenie. Pośrodku pustkowia, przy porządnym parkingu stoi nowiutki budynek recepcyjny. Oczywiście jest prąd i woda. W przyziemiu czyste toalety, wyżej niewielki sklepik z pamiątkami. Pamiątki zostawiamy na później i czym prędzej ruszamy w górę, do monasteru Ławra. Obejmuje on wykute w skałach cele dawnego klasztoru (część z nich jest w dalszym ciągu zamieszkała przez mnichów) oraz nowszą część, murowaną, mieszczącą m. in. główny kościół klasztorny.

Początki całego kompleksu sięgają VI w., kiedy przybył tu wspomniany mnich imieniem Dawid. Z czasem dołączali do niego inni pustelnicy, drażący swoje pustelnie w miękkich piaskowcach, budujących tutaj wzgórza. Później zaczęły powstawać poszczególne klasztory, skupione wokół niewielkich, murowanych kościołów. Historia jednak nie była dla tego rejonu zbyt łaskawa. W XI w. został on najechnany przez Turków seldżuckich, którzy zburzyli cały zespół. Odbudowany dzięki osobistym staraniom gruzińskiego króla Dawida Budowniczego w początkach XII w., w następnym stuleciu osiągnął szczyt swej świetności. Liczył wówczas ok. 15 niezależnych klasztorów, rozrzuconych na dość obszernym terenie (m. in. Udabno, Bertubani i Cziczchituri), które były ośrodkami nauki i sztuki, zwłaszcza malarstwa sakralnego. Jego nieliczne zachowane przykłady można podziwiać jeszcze do dziś w kościołach i klasztorach na pograniczu Gruzji, Azerbejdżanu i Armenii. Przez pewien czas pędził tu żywot mnicha Dymitr, syn wspomnianego króla Dawida Budowniczego, poeta – i sam później przez wiele (1125-1156) lat król Gruzji. Później było już jednak tylko gorzej. Najazdy Mongołów i Persów w końcu XIII w., wojsk Tamerlana w XIV w. i w końcu oddziałów szacha perskiego Abbasa I Wielkiego (kazał wymordować przeszło 60 tys. Gruzinów) w 1615 r. spowodowały całkowity upadek monasterów. W czasach radzieckich teren ten znajdował się w granicach poligonu wojskowego i był niedostępny. Dopiero z końcem XX w. częściowo odbudowano zniszczone budowle i udostępniono je zwiedzającym.



Jedna z pustelni wykuta w skale.



Na grzbiecie granicznym.

Spacerując po niewielkim dziedzińcu, na którym rosną 2 (słownie: dwa!) drzewa (w tym owocujące drzewko granatu) podziwiamy z jednej strony ciąg wykutych w skale cel, z drugiej – piękną konstrukcję odrestaurowanych budowli, wzniesionych z kamienia przekładanego tutejszą płaską cegłą i drewna. Zaglądamy do cerkiewki, wykutej w skale: skromna, murowana ściana ikonostasu niesie jednak współczesne ikony.

Obiekt opasuje ciąg murów obronnych z bramą wejściową i okrągłymi basztami. Całe założenie jednak najlepiej oglądać z wysokości, więc ruszamy wydeptaną ścieżką w górę suchego, kamienistego zbocza. Mijamy wykutą w żółtym piaskowcu pustelnię. Tam, gdzie erozja litej skały utworzyła najcieńszą choćby warstwę gleby, rosną trawy i inne rośliny zielne, a nawet rozległe kępy niskich zarośli. Teraz, w drugiej połowie sierpnia, tworzące je krzewy pyszną się już różnobarwnymi owocami, a trawy, pożółkłe, zakończyły już swój cykl wegetacyjny. Uważając, by nie zostać pokłutymi przez różne kolczaste „krzaczozy”, osiągamy w końcu grzbiet, którym biegnie granica gruzińsko-azerska. Widać na nim dachy z czerwonych dachówek, wieńczące częściowo zrujnowane kapliczki czy też małe cerkiewki. Ograniczona metalową poręczą ścieżka przechodzi na stronę azerską, dając dostęp do ukrytych poniżej grani kolejnych cerkiewek, z fragmentami dawnych dekoracji malarskich.

Wracamy na grzbiet. Dwóch azerskich żołnierzy, zajmujących „posterunek” w cieniu jednej z kaplic na grzbiecie, pilnuje (może raczej „pilnuje”?), by wszyscy zwiedzający wrócili na stronę gruzińską. „Wszyscy” to w tej chwili jakieś 5-6 osób – nie ma tu tłoku... Na zachodzie, na terenie Azerbejdżanu, daleko pośrodku suchej kotliny, dostrzegam zabudowania – zapewne to właśnie placówka azerskich pograniczników. Dalej uwagę zwraca coś połyskującego w słońcu, jakby wielki ułomek szyby porzucony wśród żółto-szarej pustyni: to lśni tafla odległego o 10 km jeziora zaporowego Jandara, którego część wkracza znów w granice Gruzji.



W stronę Azerbejdżanu.

Schodząc mijamy jedyne w okolicy źródło, zwane „Łzami Dawida”. To ono utrzymywało przy życiu pierwszych mnichów. Następni, nie chcąc pozostać zależnymi od tej niewielkiej krynicy, przecięli sąsiednią potężną, pochyłą skałę rynną, która w czasie nielicznych tu opadów zbierała wodę z całej płyty i prowadziła ją do wykutego niżej w skale zbiornika. Teraz zbiornik jest zupełnie suchy... Pomimo wysokiej temperatury (niedawno minęło południe) przy tutejszym suchym klimacie upał nie daje się nam zbyt mocno we znaki. - Oho! Będzie tłok! - komentujemy z uśmiechem, schodząc na parking. Obok naszego busa dostrzegamy pierwszy w dniu dzisiejszym autokar.

Gruzja to obecnie bardzo popularna wśród Polaków destynacja turystyczna. Jest nas tam z roku na rok więcej. Jeśli jednak komuś z zauroczonych tym pięknym krajem rodaków „dopiecz” gorące Tbilisi (gorące klimatycznie, a ostatnio znów i politycznie...) - proponuję wycieczkę do Dawid Garedża. Tam jest jeszcze cieplej...

Mirosław J. Barański

An advertisement for travel and landscape publications. It features a logo on the left with a shield containing a large 'W' and a compass rose, with the text 'ODDZIAŁ WROCLAWSKI' around it. To the right, the text reads: 'Oferta wydawnictw turystyczno-krajoznawczych wydanych przez Oddział Wrocławski PTTK'. The background is green with a yellow border.

Najniebezpieczniejsze miejsca w Karkonoszach

Nic tak nie chłodzi podczas letnich upałów jak myśl o zimie. Warto pamiętać, że zima w Karkonoszach wiąże się z zagrożeniami, w tym z zagrożeniem lawinowym nawet 4 stopnia. Aby odpowiedzieć na pytanie: „Jakie miejsca w Karkonoszach są najbardziej niebezpieczne?”, przeprowadziłem studia literaturowe i badania terenowe. W latach 1655-2018 odnotowałem 96 lawin, w tym 76 śnieżnych zdarzeń lawinowych, w wyniku których zabici i poszkodowani zostali ludzie oraz zwierzęta – psy i bydło.

Do najbardziej zagrożonych występowaniem lawin miejsc w Karkonoszach należą: Obří důl, Dlouhý důl, Biały Jar, Kocioł Małego Stawu, Labský důl, Wielki Śnieżny Kocioł, Důl Bílého Labe, Kotelní jamy, Modrý důl, Kocioł Łomniczki, Szrenicki Kocioł, Kocioł Wielkiego Stawu. Uwieczniłem je na zdjęciach wykonanych podczas badań terenowych. Fotografie można było oglądać na wystawie pt. „Najniebezpieczniejsze miejsca w Karkonoszach” w terminie od 10 maja do 10 lipca 2019 roku w „Gościńcu na Starówce” w Kowarach przy ul. 1 Maja 23.

Warto zauważyć, że każde ze sfotografowanych miejsc przypomina o innych tragediach. W najbardziej niebezpiecznym miejscu w Karkonoszach (Obří důl) w wyniku 14 śnieżnych zdarzeń lawinowych zginęło

17 osób i 7 sztuk bydła. Długi důl jest związany z wielopokoleniowym dramatem rodziny Kohl. Biały Jar jest najbardziej niebezpiecznym miejscem w polskiej części Karkonoszy. Niechlubną sławę zawdzięcza największej tragedii w polskich górach. W wyniku zejścia lawiny śnieżnej w Białym Jarze w dniu 20 marca 1968 roku poszkodowanych zostało 5, a zabitych – 19 osób (13 Rosjan, 4 Niemców i 2 Polaków).

Kocioł Łomniczki, Szrenicki Kocioł i Kocioł Wielkiego Stawu znalazły się na ostatnich trzech lokatach, co oznacza większą skuteczność działań prewencyjnych prowadzonych tam przez Karkonoski Park Narodowy



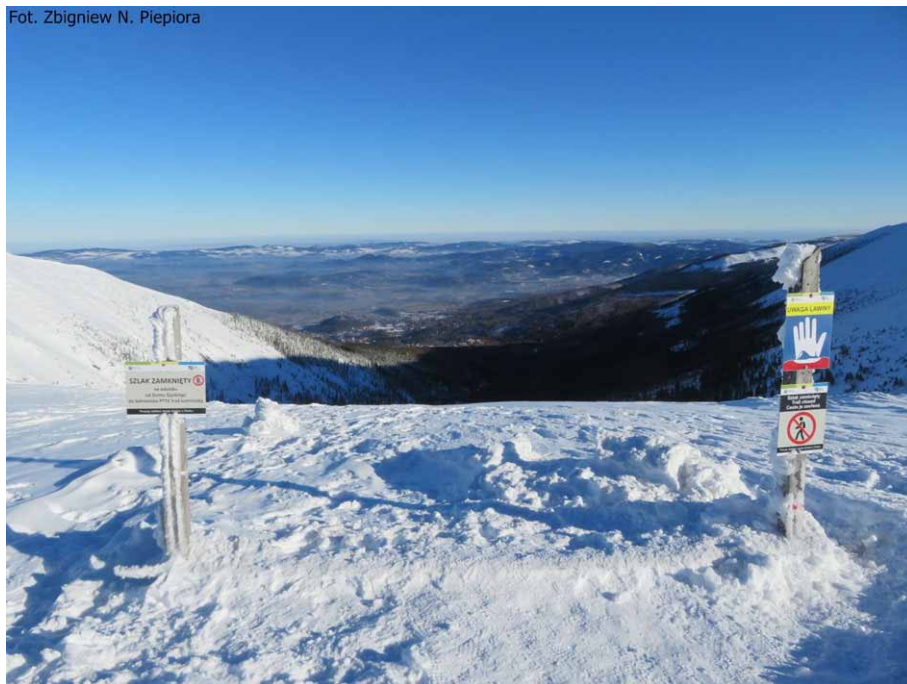
Nad Obřím důlem, 21.01.2019

we współpracy z Górkim Ochotniczym Pogotowiem Ratunkowym w porównaniu z miejscami takimi jak Biały Jar i Kocioł Małego Stawu. Działań takich jak KPN nie podejmuje Správa KRNP w Obřim důle, Dlouhim důle i innych miejscach zagrożonych zejściem lawin po czeskiej stronie.

Zbigniew Norbert Piepiora

Informacja o szlaku zamkniętym ze względu na zagrożenie lawinowe po polskiej stronie Karkonoszy, 21.01.2019

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Spotkanie z okazji 10-lecia projektu „Moja Mała Ojczyzna”

W piątek 31 maja 2019 roku w Zespole Szkół Ekonomiczno-Turystycznych w Jeleniej Górze odbyło się uroczyste podsumowanie 10-lecia projektu „Moja Mała Ojczyzna”. Właściwie słowo „podsumowanie” nie do końca oddaje to, co główna organizatorka, pani Kazimiera Pietera, chciała wyrazić. Chodziło, bowiem bardziej o pokazanie roli, jaką dla projektu przedstawiają koordynatorzy i osoby pomagające w jego realizacji niż o same wyliczanki. Chociaż te akurat w tym wypadku są imponujące. W 16 rajdach lingwistycznych, krajoznawczych i z elementami prawidłowego udzielania pierwszej pomocy wzięło udział ponad 1100 uczniów jeleniogórskich szkół. W zorganizowanych 34 konkursach uczestniczyło 1020 uczniów. W 12 spotkaniach z autorami książek o regionie oraz ciekawymi ludźmi wzięło udział 840 uczniów. Podobne grono widzów gromadziły różnego rodzaju warsztaty (w sumie 17) czy Złoty Gwiazdź (8). Nieco mniej, ale także liczone w setki osób było grono uczniów biorących udział w plenerach malarskich, grach miejskich, wyjazdach do Szklarskiej Poręby, Karpacza czy Archiwum Państwowego w Jeleniej Górze. Oprócz uczestnictwa w wycieczkach m. in. do: Bolkowa, Książa, Wlenia, Oyby, Bożkowskich jaskiń, Piechowic, były także spotkania z władzami miasta Jeleniej Góry.

Gdy patrzemy na te podsumowania cieszy, że udało się w ramach projektu dokonać tak wiele. Zwłaszcza, że na początku było krucho z finansami. W zasadzie z finansami jest krucho zawsze. Jednak dzięki wolontariatowi udaje się realizować podejmowane działania. Nie mniej trzeba tutaj uczciwie powiedzieć, że gdyby nie wsparcie finansowe miasta Jelenia Góra projekt nie mógłby być realizowany z takim rozmachem.



A przecież to, czego w trakcie podejmowanych działań uczą się dzieci jest nie do przecenienia. Na pewno wszystko, czego nauczą się pozostanie dla nich na zawsze. Kto wie czy działania te nie wpłyną pozytywnie na ich przyszłe życie? A to nie ma ceny. Dlatego szczególne podziękowania z okazji jubileuszu należą się kolejnym prezydentom miasta Jelenia Góra, którzy widząc potencjał podejmowanych działań starali się w miarę możliwości pomagać. Do tej pory przychylnym okiem na te działania patrzył Marek Obrębalski, Marcin Zawila, teraz ciepło o projekcie wypowiada się Jerzy Łuźniak. Dziękujemy im za to.



Projekt „Moja Mała Ojczyzna” pod patronatem prezydenta Miasta Jeleniej Góry od początku jest organizowany przez Zespół Szkół Ekonomiczno-Turystycznych (Kazimiera Pitera – główny koordynator projektu) a wspierany przez: Wydział Edukacji i Sportu Miasta Jeleniej Góry (Barbara Latosińska), Książnicę Karkonoską (do 2017 roku Alicja Raczek), Muzeum Karkonoskie (Gabriela Zawila i Aneta Firszt), Muzeum Miejskie Dom Gerharta Hauptmanna (Julita Zaprucka), Związek Gmin Karkonoskich (Witold Szczudłowski i Krzysztof Tęcza prowadzący Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy), Wydawnictwo Ad Rem (Regina Chrześcijańska) oraz jeleniogórskie szkoły gimnazjalne i ponadgimnazjalne. Wśród nich są: Zespół Szkół Elektrycznych (Agnieszka Tomaszewska, Klaudia Ostojewska, Sylwia Sawicz), Zespół Szkół Przyrodniczo-Usługowych i Bursy Szkolnej (Marzena Owsiana-Czepiel), Zespół Szkół Licealnych i Zawodowych nr 2 (Kazimierz Bielawski, Edyta Rząsa), Zespół Szkół Ogólnokształcących i Technicznych (Małgorzata Pawlak), Zespół Szkół Rzemiosł Artystycznych (Dorota Graczyk, Krzysztof Raczek, Anna Deka, Bartłomiej Ostapiuk, Magdalena Baniewska), Zespół Szkół Technicznych „Mechanik” (Piotr Wilk, Aneta Palińska), I Liceum Ogólnokształcące (Agnieszka Słowik), II Liceum Ogólnokształcące (Anna Koziara).

Najważniejszym w realizowanym od dekady projekcie jest fakt uczulania uczniów na piękno otoczenia, w którym przyszło im żyć. Ważne jest, że dzięki uczestniczeniu w poszczególnych imprezach projektu uczniowie włączają się w działania mające na celu zachowanie tego piękna, ale także na to, że zaczynają oni postrzegać swoje otoczenie, jako „Małą Ojczyznę”, w której warto żyć i dla której warto pracować.

Dobłą stroną jest także fakt, że pan prezydent Jerzy Łuźniak, w swojej wypowiedzi, pokazał, że miasto także dostrzega jak ważną rolę są te działania. Jest, zatem szansa, że projekt będzie trwał i nie zakończy się na jubileuszu.

Krzysztof Tęcza

Zakony bez tajemnic

W poniedziałek 4 lutego 2019 roku miało miejsce kolejne spotkanie przewodników sudeckich w ramach cotygodniowych szkoleń. Tym razem wysłuchano wykładu dr Agnieszki Paciorkowskiej „Zakony bez tajemnic”.

Obecnie, zarówno na świecie, jak i w Polsce, powstaje wiele zakonów świeckich. Przedstawiciele poszczególnych zakonów noszą stroje często znacznie odbiegające od ogólnie kojarzonych przez przeciętnego człowieka. Nie zawsze są to habit.

Według kodeksu prawa kanonicznego z 1917 roku istniały zakony i zgromadzenia zakonne. Te pierwsze to stowarzyszenia wiernych zatwierdzone przez władze kościelne, a drugie nie. Członkowie zakonów składają śluby zobowiązujące ich do posłuszeństwa, ubóstwa i czystości. Śluby te pociągają za sobą pewne skutki

prawne. Natomiast członkowie zgromadzeń zakonnych składają jedynie śluby proste niemające skutków prawnych.

Po roku 1983 wspomniany wyżej podział przestał obowiązywać, gdyż wprowadzono jeden termin – instytucje zakonne. W ich ramach wyróżniamy instytucje świeckie oraz stowarzyszenia życia apostołskiego. Członkowie tych pierwszych składają śluby na wzór zakonnych i biorą czynny udział w życiu społeczności świeckiej. Członkowie stowarzyszeń nie składają ślubów zakonnych, lecz tylko zobowiązania lub przyrzeczenia. Poświęcają się oni pracom duszpasterskim lub charytatywnym.



Wszystkie znane nam zakony były zakładane według pewnych reguł. Najbardziej znana jest reguła Pachomiusza z roku 346. Jest nie tylko najstarsza, ale uważa się, że dała początek pozostałym regułom, których dziś jest ponad trzydzieści. Nakazywała ona mnichom dążyć do doskonałości poprzez indywidualną formację ascetyczną. Nakładała ponadto na zakonnik obowiązek pracy, której wyniki pozwalały mu się utrzymać. Musiał także prowadzić życie w czystości, ubóstwie i posłuszeństwie. Poza tym powinna go cechować łagodność, umiar i humanitaryzm.

Kolejna znana reguła, wywodząca się od świętego Benedykta, pochodzi z roku 540. Według niej zakonnicy mieli wyznaczony czas na modlitwę, pracę, odpoczynek i rekreację. Klasztor miał przypominać rodzinę, na czele której stał opat (ojciec). Każdy zakonnik musiał wykazywać się posłuszeństwem, pokorą i ufnością. Nie mógł przesadzać z umartwianiem się. Gdy został przyjęty do klasztoru, powinien pozostać w nim do końca swoich dni. Nade wszystko jednak musiał realizować cel i założenia powołania zakonu zawarte w trzech hasłach. Pierwsze to uwielbianie Boga, drugie – modlitwa i praca, a trzecie – pokój.

Reguła Augustiańska jest podstawą kształtowania życia m.in. przez: augustianów, bonifratrów, dominikanów czy augustianki i dominikanki. Reguła ta zaleca: ubóstwo, pokorę, usłużność, miłość Boga i bliźniego, wstrzemięźliwość w pokarmach i napojach.

Reguła św. Franciszka zatwierdzona w 1223 roku, złożona z 12 rozdziałów, za cel stawia życie według Ewangelii oraz zachowanie według rad ewangelicznych w duchu miłości i naśladowania Chrystusa ubogiego, cierpiącego i modlącego się. Ważną sprawą jest zasada braterstwa wobec innych stworzeń oraz zaufanie do innych.

Wszystkie pozostałe reguły są wzorowane na przedstawionych powyżej. Aby zdać sobie sprawę, jak ważne są ustalenia zawarte w poszczególnych regułach, trzeba wiedzieć, że na świecie działa 3850 zakonów skupiających prawie milion osób konsekrowanych. Z tym, że zakonów męskich jest tylko 753, pozostałe to zakony żeńskie. Jeśli chodzi o Polskę, to mamy 58 zakonów męskich i 100 zakonów żeńskich. W sumie przebywają w nich ponad 32 tysiące osób. Jeśli chodzi o zakony męskie, to największą liczbą współbraci mogą poszczycić się franciszkanie (1800), salezianie (980) i jezuici (557). Zakony żeńskie – odpowiednio: siostry służebniczki NMP (1450), elżbietanki (około 1000), szarytki (około 800). Najmniej liczebny zakon żeński to anuncjatki (w Polsce są cztery), natomiast zakon męski to trynitarze (dziś reprezentowani przez jednego zakonnika).

Ciekawostką jest, że św. Franciszek założył nie jedną, a trzy wspólnoty. Zakon Braci Mniejszych (*Ordo Fratrum Minorum*) to franciszkanie. Przystępujący do niego muszą żyć w posłuszeństwie, czystości i ubóstwie. Ich hasłem jest *Pax et bonum* (pokój i dobro). Bracia mniejsi noszą habity koloru brązowego, przewiązane w pasie białym sznurem o trzech węzłach.

Franciszkanie *OFMConv* (*Conventualium*) również w swoim życiu wzorują się na hasle *Pax et bonum*, jednak ich habity mają kolor czarny. Do przewiązania używają białego sznura o trzech węzłach symbolizujących złożone przez zakonnik śluby.

Kapucyni *OFM Cap* to zakon, w którym duchowość oparta jest ściśle na ideale życia św. Franciszka z Asyżu. Charakteryzuje ich skrajne ubóstwo, duch pokuty i kontemplacja modlitewna. Noszą brązowe habitury przepasane białym sznurem, a większość z nich posiada brody. Wszystkie modlitwy odbywają z założonymi na głowę kapturami. *Bulla Religionis zelus*, która im pozwala na noszenie zarostu, dopuszcza także możliwość prowadzenia przez nich życia pustelniczego.



Przedstawiciele kolejnego zakonu to salezjanie (*SDB*). Prowadzą oni działalność wychowawczo-duszpasterską wśród młodzieży według hasła *Daj mi duszę, resztę zabierz*. Z kolei jezuici (*SJ*) – Towarzystwo Jezusowe – swoją pracę opierają na hasle: *Na większą chwałę Boga*. Zajmują się oni obroną i szerzeniem wiary, ale przede wszystkim doskonalą swoje dusze w nauce chrześcijańskiej. Oprócz trzech podstawowych ślubów składają także czwarty – wierności Ojcu Świętemu.

Mamy również zakony, w których zakonnicy żyją bez ślubów. Zamiast tego składają oni przyrzeczenia, które odnawiają po jednym, trzech i dziesięciu latach. Takim zakonem są pallotyni (*SAC*) – Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego. Zajmują się oni działalnością rekolekcyjną, prowadzą szkoły, wydawnictwa, hospicja.

Dominikanie (*OP*) – Zakon Kaznodziejski, ubierający się w habitury koloru białego – przede wszystkim skupiają swoją działalność na kontemplacji i przekazywaniu innym owoców tej kontemplacji.

Ciekawi ze względu na prowadzoną działalność są trynitarze (*OSsT*) – Zakon Trójcy Przenajświętszej. Zajmują się wykupem jeńców chrześcijańskich z niewoli muzułmańskiej. Może obecnie nie są to tak częste przypadki, jak dawniej. Dzisiaj ich działania skupiają się na pomocy w uwalnianiu od różnego rodzaju uzależnień. Ze względu na noszony kolorowy krzyż na białych habitach są łatwo rozpoznawalni. Biel habitu symbolizuje Boga Ojca, czerwony kolor belki krzyża oznacza żarliwość Ducha Świętego, a niebieski – zbawczy charakter Syna Bożego.

Do tej pory przedstawiane były zakony męskie, ale, jak już było wspomniane, większość zakonów to zakony żeńskie. I tak, najliczniejszy w Polsce jest założony w 1850 roku przez błogosławionego Edmunda Bojanowskiego zakon słuźebniczek – Zgromadzenie Sióstr Słuźebniczek NMP Niepokalanie Poczętej (*ABMV*). Siostry po złożeniu ślubów czystości, ubóstwa i posłuszeństwa służą bliźnim, pomagają biednym i chorym oraz zajmują się wychowaniem dzieci.

Elżbietanki – Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety (*CSSE*) działają według hasła: *Nikt nie może wyjść spod naszych rąk nie otrzymawszy pomocy*.

Z kolei szarytki nie składają ślubów wieczystych. Muszą tylko co roku ponawiać śluby podstawowe. Często można je spotkać w szpitalach, przychodniach, hospicjach czy domach dziecka.

Na koniec pora przedstawić anuncjatki – Zakon Najświętszej Maryi Panny (*OVM*) założony przez św. Joannę. Wyróżniają się one przede wszystkim ubiorem. Noszą szary habit przepasany białym sznurem z 10 węzłami symbolizującymi cnoty Matki Boskiej. Do tego mają czerwony szkaplerz, a głowę osłaniają białym czepkiem otaczającym twarz i czarnym welonem. Na piersiach mają przewieszony na niebieskiej wstędze medalion z wizerunkiem Matki Bożej. Anuncjatki swoje życie spędzają w klasztorach prowadząc modlitwy liturgiczne. Głównym celem, jaki im przyświeca, jest naśladowanie dziesięciu cnót Maryi – czystości, roztropności, pokory, wiary, pobożności, posłuszeństwa, ubóstwa, cierpliwości, miłości i boleści.

Oprócz zakonów działają jeszcze instytuty świeckie. Pierwszym w historii tego typu instytutem było Opus Dei. Na świecie działa ponad 200 takich instytutów, a w Polsce ponad 30.

Niestety, czas przewidziany na wykład nie pozwolił na ogarnięcie tak rozległej wiedzy. Dlatego, jak zapewniła dr Agnieszka Paciorkowska, temat ten będzie przedmiotem kolejnych szkoleń w przyszłości.

Krzysztof Tęcza

Sudety w malarstwie Stanisława Kanonowicza

„Być może gdzie indziej są ziemie piękniejsze...”

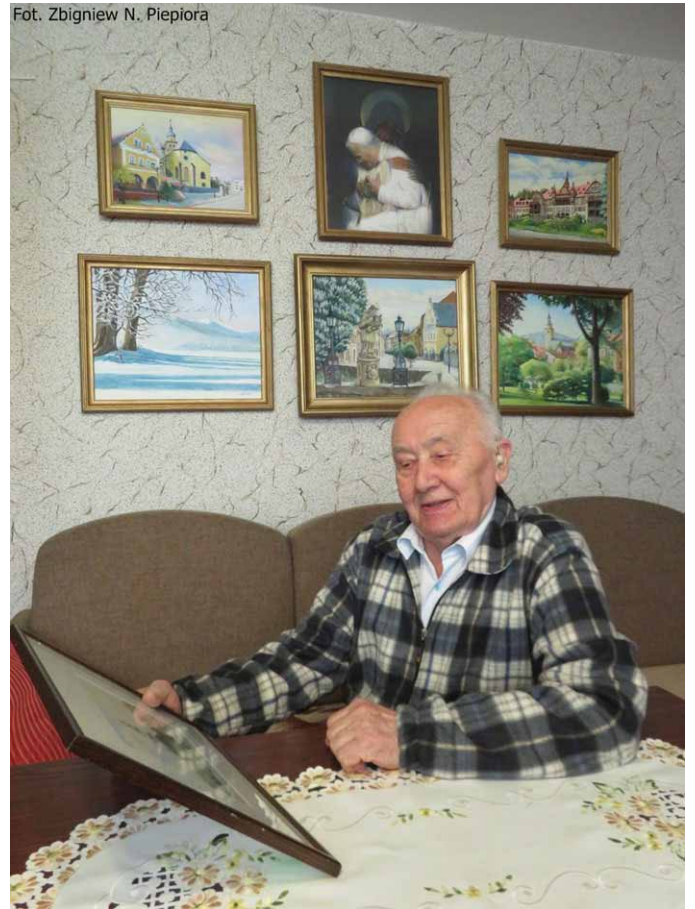
S. R. Dobrowolski

Sudeckie szklaki, Góry Sokole, Śnieżkę, pałace „Nowy Dwór” i „Wojanów”, schroniska PTTK „Samotnia” i „Odrodzenie”, „Jelenią Strugę”, Kolorowe Jeziora, Teatr im. C. K. Norwida w Jeleniej Górze, zamki Chojnik i Czocha, widok na Kotlinę Kamiennogórską, Góry Wałbrzyskie i Kamiennie z Lasockiego Grzbietu czy Kościół pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Karpaczu można zobaczyć na wystawie prac pn. „Sudety w malarstwie Stanisława Kanonowicza”. Jest to kolejna ekspozycja zorganizowana w „Gościńcu na Starówce”. Otwarcie wystawy miało miejsce w środę 10.07.2019 o godz. 12.00.

Autor prac – Stanisław Kanonowicz – jest emerytowanym nauczycielem i polonistą z wykształcenia. Ukończył Studium Nauczycielskie i Wydział Filologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Jest także honorowym członkiem Stowarzyszenia Miłośników Kowar.

– Od dziecka bardzo lubiłem rysować. Z tego też względu znalazłem się w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych we Wrocławiu, gdzie zdobyłem podstawową wiedzę i umiejętności z zakresu rysunku i malarstwa oraz innych dziedzin plastyki – mówi S. Kanonowicz. – Po ukończeniu liceum nie kontynuowałem dro-

Fot. Zbigniew N. Piepiora



Fot. Zbigniew N. Piepiora

gi artystycznej, lecz wybrałem inny zawód i stałem się nauczycielem języka polskiego. Nie porzuciłem jednak malarstwa, rysowałem i malowałem przy każdej okazji i chętnie uczyłem dzieci rysunku i malarstwa w ramach lekcji plastyki i na zajęciach pozalekcyjnych.

Artysta mieszka w Kowarach od 1977 roku. S. Kanonowicz jest znany w swoim mieście, gdyż często prezentuje swoje prace na okolicznościowych festynach czy plenerach malarskich i w miarę możliwości współpracuje z Miejskim Ośrodkiem Kultury w Kowarach oraz uczestniczy w działalności Stowarzyszenia Miłośników Kowar. Warto podkreślić, że byli uczniowie mieszkający w Kowarach i rozsiani po świecie przy każdej okazji dają wyraz swojego szacunku i uznania dla swego nauczyciela na stronach internetowych i portalach społecznościowych. To uznanie jest bodźcem dla S. Kanonowicza do dalszej pracy dla miasta, Stowarzyszenia Miłośników Kowar i dla samego siebie.

S. Kanonowicz skromnie określa się mianem „artysty-amatora”. Namalował ok. 1000 prac. Brał udział w wystawach zbiorowych w kraju i zagranicą. „Sudety



w malarstwie Stanisława Kanonowicza” to piąta indywidualna wystawa tego malarza i rysownika. Możemy na niej zobaczyć jego bardzo wczesne i najnowsze obrazy i rysunki.

– Moją ulubioną techniką jest akwarela, jednak maluję także obrazy olejne, pastele i tempery. Lubię rysować ołówkiem, kredką, piórkiem czy patykiem – dodaje autor.

Wystawę prac pn. „Sude ty w malarstwie Stanisława Kanonowicza” można oglądać bezpłatnie do 15 września br. Ekspozycja jest otwarta codziennie w godzinach 12⁰⁰-20⁰⁰ w „Gościńcu na Starówce” przy ul. 1-go Maja 23 w Kowarach.

Zbigniew Norbert Piepiora

Warsztaty dotyczące szacowania wartości środowiska przyrodniczego

W poniedziałek 20 maja 2019 roku w siedzibie Związku Gmin Karkonoskich w Bukowcu odbyły się warsztaty specjalistyczne organizowane w ramach projektu „Człowiek dla natury – natura dla człowieka. Koegzystencja zamiast konkurencji w dolnośląskich obszarach Natura 2000”. Program ten jest współfinansowany ze środków Funduszu Spójności w ramach Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko na lata 2014–2020. Polega on na realizowaniu jednodniowych warsztatów w zakresie szacowania wartości środowiska z wykorzystaniem koncepcji wyceny usług ekosystemowych na terenach Natura 2000 oraz oceny oddziaływania środowiska na obszarach Natura 2000. Celem warsztatów jest przekazanie wiedzy, a także dyskusja nad sposobami wykorzystania zasobów przyrodniczych w rozwoju regionu.

Pierwszą część warsztatów w Bukowcu poprowadziła mgr Marta Sylla z Katedry Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Pokazała, w jaki sposób można identyfikować korzyści płynące dla człowieka z obszarów Natura 2000. Następnie poprosiła, by uczestnicy warsztatów w formie mapowania partycypacyjnego zakreślili na mapie miejsca o dużym potencjale z punktu widzenia dostarczania najważniejszych, wybranych przez nich, korzyści. Jak się okazało, biorący udział w szkoleniu, podzieleni na dwie grupy, wykonali bardzo podobne do siebie mapy. Oznacza to, że nasz region jest na tyle przejrzysty, że różne grupy szacujące jego wartość wyciągają bardzo podobne wnioski.

Następnie przedstawiono trzy metody szacowania ekonomicznej wartości środowiska i przykłady ich zastosowania na Dolnym Śląsku.

Drugą część szkolenia poprowadził dr Zbigniew Piepiora z Katedry Gospodarki



Przestrzennej Wydziału Inżynierii Kształtowania Środowiska i Geodezji. Przedstawił on wyniki przeprowadzonych badań, na podstawie których dokonano wyceny wartości środowiska. W tym konkretnym wypadku chodziło o teren Tatrzańskiego Parku Narodowego. Żeby jednak przedstawiane wyniki były nam bliższe, pokazał także wyniki badań nad próbą oszacowania wartości środowiska w Karkonoskim Parku Narodowym. Nie będę się tutaj rozpisywał nad szczegółami. Podam tylko ogólny wynik. Otóż, według tych badań, wartość Karkonoskiego Parku Narodowego, jeśli chodzi o jego krajobraz, jest wyceniona na kwotę nieco ponad 6 miliardów złotych. Nie jest to oczywiście całkowita wartość KPN-u. Trzeba bowiem do tej kwoty doliczyć jeszcze wartość zalesienia czy występującej tu zwierzyny. Niemniej otrzymaną kwotą można posługiwać się w sprawach ubezpieczeń czy odszkodowań.



Podsumowując należy stwierdzić, że posiadamy dziś narzędzia pozwalające nam w sposób teoretyczny wyceniać środowisko, w którym żyjemy. Są to jednak liczby szacunkowe, nie w pełni oddające jego wartość. Z reguły bowiem każda wycena jest zaniżona w stosunku do prawdziwej wartości.

Do tej pory warsztaty z oceny oddziaływania na środowisko inwestycji zlokalizowanych na obszarach Natura 2000 i szacowania wartości środowiska, z wykorzystaniem koncepcji wyceny usług ekosystemowych na obszarze Natura 2000, zorganizowano, poza Bukowcem, w Kamiennej Górze, Kowarach, Krośnicach i Wrocławiu. Kolejne planowane są w Miliczu, Wałbrzychu i ponownie we Wrocławiu.

Dodam tylko, że w warsztatach w Bukowcu wzięli udział przedstawiciele Nadleśnictwa Śnieżka w Kowarach, Karkonoskiego Parku Narodowego, Starostwa Powiatowego w Jeleniej Górze, Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze oraz Związku Gmin Karkonoskich.

Krzysztof Tęcza

CYTAT MIESIĄCA

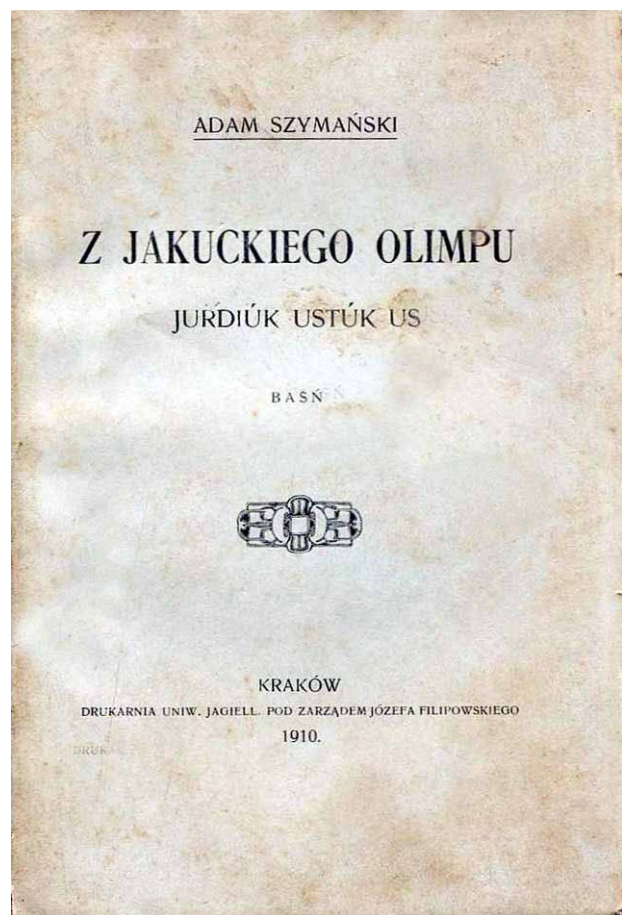
Prasa i media elektroniczne po swojemu kreują rzeczywistość. W tej kreacji przeważa brak podstawowej wiedzy o własnym Kraju (o innych też), nie brakuje zwyczajnej ignorancji i rzetelności (?) dziennikarskiej. Tym razem fragment tekstu reklamowego z wiodącego portalu informacyjnego. Rzecz dzieje się w Wiśle, czytamy zatem że: *Hotel (...) położony jest w jego malowniczej części, nieopodal źródeł Wisły, u stóp Babiej Góry, zaledwie 800 metrów od skoczni narciarskiej im. Adama Małyszka. Dalej czytamy: Beskidy Zachodnie to malowniczy region położony w Karpatach zachodnich. Średnie wysokości szczytów oscylują pomiędzy 600 a 1400 m n.p.m., a najwyższym szczytem jest Babia Góra. Po tym następuje bardziej szczegółowy opis prezentujący atrakcyjne miejsca Beskidu... Śląskiego.*

No właśnie, co to za różnica Babia Góra, czy Barania Góra. Jak ktoś chce dojechać do tego hotelu to i tak dojedzie, gorzej gdy zachęcony taką lokalizacją gość zechce wybrać się wprost z hotelu na Babią Górę, wszak hotel leży u jej stóp. No cóż, niech sobie radzi.

Bonus: jeden z dwóch tzw. wiodących portali informacyjnych reklamę hoteli w Ustce zilustrował zdjęciem panoramy... Grudziądza. Fakt, na zdjęciu widać wodę, zupełnie jak w Ustce. Z przeciwległego brzegu Wisły.

Adam Szymański

Urodził się w szlacheckiej rodzinie Jana Szymańskiego w Hruszniewie (powiat bielski, gubernia siedlecka Królestwa Polskiego) 16 lipca 1852 r. Uczył się w gimnazjum w Siedlcach. Ukończył studia prawnicze w Uniwersytecie Warszawskim (1877). Za działalność w Rządzie Narodowym, jako komisarz w zaborze rosyjskim i założenie patriotycznej organizacji „Związek Synów Ojczyzny” Adam Szymański został aresztowany (1878) i osadzony w X pawilonie Warszawskiej Cytadeli. Osadzony został zesłany na wieczne osiedlenie na Syberię. Trafił pod dozór policyjny do Jakucka, dokąd przybył po 3 miesiącach podróży w lipcu 1879 r. Zainteresował się życiem Jakutów, zaczął prowadzić badania etnograficzne. W 1880 r. ożenił się z Rosjanką Nadieżdą Smiecką, jak i ona zesłaną na Syberię. Urodził im się syn Jan (1881). Przeniesiono Adama Szymańskiego z rodziną (1883) do Kireńska (1400 km po Lenie na południowy zachód), a po roku do Bałagańska nad



Angarą w guberni irkuckiej. Prowadził gospodarstwo rolne. Żona otrzymywała przekazy pieniężne od rodziców (ojciec jej był generałem, matka – właścicielką dóbr ziemskich). Zajmował się geografią, etnografią i folklorem narodów Syberii. Publikował swoje prace w *Zapiskach Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego* i innych wydawnictwach. Znany jest z tego okresu opis żywności spożywanej przez Jakutów, opublikowany w czasopiśmie *Sibir* w 1885 r., świadczący o dokładnym zapoznaniu się autora z życiem tego narodu. Za działalność badawczą został członkiem IRTG (1885).

W związku z chorobą żony, w wyniku starań jej matki, w 1885 r. uzyskał prawo przeniesienia się z rodziną do europejskiej części Rosji. Zamieszkał w majątku rodzinnym żony we wsi Strelica w guberni kostromskiej. Tu powstały reportaże napisane w formie opowiadań, omawiające życie zesłańców, łączące obrazy zdarzeń z liryką opisu. Przenika je uczucie patriotyzmu i życzliwy stosunek do człowieka. Publikował je

w petersburskim *Kraju* wydawanym po polsku. Krótko mieszkał w Charkowie, pracując, jako adwokat. Otrzymawszy zgodę władz przeniósł się do Petersburga (1887). W tym czasie swoje opowiadania zebrane pod wspólnym tytułem *Szkice* opublikował w 1887 r. (I tom) i 1890 r. (II tom).

W 1893 r. wyjechał na leczenie do Galicji, później do Szwajcarii. Po długotrwałych zabiegach uzyskał zgodę na powrót do Królestwa Polskiego, zjawiał się w Warszawie (1895). Choć był daleko od Syberii, nadal

pracował nad tematyką jakucką. W tym czasie napisał baśń *Z jakuckiego Olimpu – Jurdiuk Ustuk Us* (wydał ją dopiero w 1910 r.). Pracował też nad *Porównawczym słownikiem wyrazów jakuckich* w tłumaczeniu na 7 języków. Zestawił w nim 200 wyrazów. Pracy tej nie wydał, bo wyprzedził go Piekarski swoim słownikiem (1899).

Szymański od 1902 r. mieszkał w Krakowie. Redagował czasopismo *Reforma szkolna* (1904-1913). Wydał tu ponownie swoje *Szkice* (1910). Przetłumaczono je na liczne języki europejskie. W 1906 r. umarła mu żona. Wojna światowa zaskoczyła go na leczeniu w Druskiennikach. Nie mógł wrócić do Krakowa, więc wyjechał do Moskwy. Tam w samotności po krótkiej chorobie Adam Szymański zmarł 6 kwietnia 1916 r. Został pochowany na Cmentarzu Lefortowskim. Syn Jan żył do 1953 r.

Rękopisy A. Szymańskiego przechowywane są w archiwum PAN w Warszawie i Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie. W Warszawie są 24 zeszyty, zapisane ręką Szymańskiego, w większości po polsku, zawierające wiadomości o Jakucji i jej mieszkańcach. Autor opisał ziemię syberyjską, jej tajgę i tundrę, rzeki i jeziora, florę i faunę. Przedstawił życie Jakutów, darząc ten naród szczególną sympatią. Interesująco omówił ich zajęcia, obyczaje, wierzenia, ich odzież, jurty i chaty. Ponieważ Jakuci nazywają siebie Sacha, autor wywiódł ich dzieje od starożytnego ludu zwanego Sakami (lub Sahajami), który żył na południu Syberii. Miała to być książka *Jakucka ziemia i jej mieszkańcy*, lecz, niestety, pozostała nieukończona w rękopisie. Ale, jak twierdzą niektórzy badacze, część wiadomości, zgromadzonych przez Adama Szymańskiego, za jego zgodą znalazła się w książce Wacława Sieroszewskiego *Dwanaście lat w kraju Jakutów*, opublikowanej w 1896 r.



Zima w Jakucku



Grób A. Szymańskiego

Janusz Fuksa

Po pierwsze: **NIE SZKODZIĆ**

Łapy precz od parków narodowych !!!

Magurski Park Narodowy powoli staje się fikcją. Taką opinię wyraził pisarz Andrzej Stasiuk, mieszkaniec Wołowca w Beskidzie Niskim. Niedawno protesty, celowo wprowadzonych w błąd mieszkańców wchodzących w głąb Parku wsi, uniemożliwiły stworzenie choćby minimalnej strefy chroniącej jego przyrodnicze zasoby. Lobby myśliwskie już dawno otoczyło park pierścieniem ambon, pod które nęci się zwierzęta (po myśliwsku: zwierzynę) by do nich strzelać.

Teraz z kolei starostwo jasielskie postanowiło park dobić odnawiając i poszerzając przecinającą jego najcenniejsze fragmenty drogę Krempna – Żydowskie – Ożenna. Droga ta od wielu lat zapuszczona i zapominana, od czasu wybudowania nowej trasy doliną Ryjoka przez Świątkową i Rozstajne, jest coraz trudniej przejezdna. Przez ostatnie kilka lat była już nawet całkiem zamknięta dla ruchu samochodowego. Opanowali tę trasę z wielkim zadowoleniem turyści na rowerach i piesi „plecakowcy”.

Droga stawała się coraz bardziej trasą przyrodniczą, uznawana za ruinę, a przyroda wchodziła na resztki tego traktu jak do swego pozostawionego jej podwórka. To rowerzyści i inni wędrowcy uznali ją za jedną z coraz bardziej zdziczałych, a dzięki temu pięknych tras dla swoich wędrowek po Beskidzie Niskim. Pomysł jej odbudowania i udostępnienia dla ruchu samochodowego – nie mający żadnego uzasadnienia ekonomicznego ani społecznego – jest tak porażająco absurdalny, że aż prosi się o poszukiwanie jego autorów i nazwania ich projektem szkodnikami przyrody. Innymi słowy i po prostu: to uderzenie poniżej przysłowiowego pasa w Magurski Park Narodowy i kolejny krok do jego dewastacji, degradacji i zniszczenia.

Proponuję czytelnikom „Na Szlaku” przyłączenie się do akcji, zainicjowanej przez Fundację Dziedzictwo Przyrodnicze „Ocal SERCE Beskidu Niskiego”, poprzez podpisywanie [apelu protestującego](#) przeciwko pomysłowi odbudowy tej drogi, a jakże, z nawierzchnią asfaltową, żeby nie niszczyć resorów i misek olejowych samochodów z „turydami”.

Niemal równocześnie podczas 43 sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO w Baku (Azerbejdżan), uchwalono kolejny wniosek w obronie Puszczy Białowieskiej. To co, się dzieje na jej obszarze jako obiekcie zajmującym poczesne miejsce na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO (kolejne decyzje w 1979, 1992, 2014 o ochronie tego unikalnego starego lasu, naturalnej puszczy), budzi od dawna niepokój obrońców przyrody w Polsce i w wielu międzynarodowych organizacjach obrońców przyrody.

Zapadło podczas obrad tego Forum ostrzegawcze postanowienie: jeśli nie będą zachowane pryncypialne zasady ochrony Puszczy to zostanie wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa w Zagrożeniu!!! Ciągłe aktualny jest zgłaszany od wielu lat postulat ustanowienia całkowitej ochrony Puszczy Białowieskiej w zintegrowanym P A R K U N A R O D O W Y M. Niezmiennie także od wielu lat Ministerstwo Środowiska na takie głosy odpowiada tak samo. Cytuje dosłownie odpowiedź Aleksandra Brzózki, w imieniu Wydziału Komunikacji Medialnej z Departamentu Edukacji i Komunikacji uzyskaną 11 czerwca 2019 roku: **Odpowiadając na Pana pytania informujemy, że aktualnie nie toczą się żadne prace nad utworzeniem nowych Parków Narodowych. Powodem jest sprzeciw samorządów, na terenie których miałyby być utworzone Parki Narodowe. Określenie granic Parku Narodowego może nastąpić po uzgodnieniu z organami uchwalodawczymi jednostek samorządu terytorialnego, na obszarze których planuje się takie działania. Z wyrazami szacunku...**

Taka opinia obowiązuje także w sprawie uznania całej Puszczy za park narodowy.

To tylko część prawdy, albowiem również w odpowiedzi powinno znaleźć się wyjaśnienie, że puszczańskie ostępy trzebione są przez leśników w imię „zachowania bezpieczeństwa dla odwiedzających Puszcze”, „wykonania planów wyrębów drzewostanów uznawanych za lasy użyteczne pod względem gospodarczym”, oraz „uznanie i zaspokajanie potrzeb myśliwych z kraju i wielu gości z zagranicy” ze strzelbami czy sztucerami.

Powszechnie znane są plany urządzania lasów w puszczańskich nadleśnictwach Hajnówka, Browsk i Białowieża. Wskazane są jednoznacznie wyręby (pozyskanie drewna w celach komercyjnych) około 155 tys. metrów sześciennych, czyli osiągnięcie znacznych zysków przez firmę Lasy Państwowe. Ministerstwo Środowiska bardzo niechętnie zabiera się do sformułowania Zintegrowanego Planu Zagospodarowania Puszczy Białowieskiej, w którym powinno znaleźć się jasno określone stanowisko w sprawie wyrębów. Od 1994 roku istnieje zastępczo Leśny Kompleks Promocyjny „Puszcza Białowieska”, w tych samych wspomnianych trzech nadleśnictwach.

A więc wobec Puszczy Białowieskiej – i w odniesieniu do innych obszarów postulowanej ochrony – będzie takie, jak cytowane stanowisko Wydziału Komunikacji z Departamentu Edukacji i Komunikacji MŚ. Zatem wypada przypomnieć, że minęło ponad 70 lat od ogłoszenia postulatu ochrony terenu do dziś umownie nazywanego „Mazurskim Parkiem Narodowym”. W 1977 roku zastępczo zaistniał Mazurski Park Krajobrazowy. W 2002

roku powstał LKP „Lasy Mazurskie” obejmujący nadleśnictwa Strzałowo, Spychowo i Mrągowo. Innymi słowy mijają lata a gminy, leśnicy i myśliwi widzą godne ochrony wielkie kompleksy cennej przyrody „po swojemu”.

Podobnie – już w 1981 roku – obrońcy przyrody domagali się utworzenia Szczecińskiego Parku Narodowego. Więc w 1996 roku utworzono LKP „Puszcze Szczecińskie”. Obejmuje nadleśnictwa Kliniska, Gryfino, Trzebież i Lasy Miejskie Szczecina. Jeszcze bardziej długa i bogata, bodajże już 40-letnia, jest historia niespełnionego Tulnickiego Parku Narodowego. Jak w wielu innych przypadkach w 1995 roku utworzono zastępczo LKP „Lasy Birczańskie”, obejmujące resztki dorodnych, trzebionych bezlitośnie lasów na Pogórzu Przemyskim, w Nadleśnictwie Bircza.

Ta kraina porównywana jest pod względem walorów przyrodniczych z Puszcą Białowieską. Ale jej zagrożenie jest o wiele większe z powodu planowej eksploatacji gospodarczej najcenniejszych lasów Pogórza Przemyskiego. W obronę bezcennego fragmentu Puszczy Karpackiej (315 tys. hektarów !!!) od dawna zaangażowana jest WWF Polska (filia Światowej Organizacji Ochrony Przyrody). Zebrano ponad 100 tys. podpisów, aby władze zdecydowały o utworzeniu parku. Są gotowe inwentaryzacje przyrodnicze. Walka ekologów o Turnicki PN trwa z różnym nasileniem od 1996 roku. W Puszczy Karpackiej zachowały się na wolności niedźwiedzie, rysie, żbiki, żubry, jelenie, dziki, orły i puchacze. Rośnie (ciągle pomimo wycieków !!!) ponad 6 tysięcy drzew o pomnikowych rozmiarach. Aż 60 proc. tych lasów powinno być rezerwatem. Niestety, ciągle ten kompleks leśny uznawany jest za las... gospodarczy do wycinania i atrakcyjnych polowań.

Wypada wspomnieć, że od 1985 roku po stronie niemieckiej istnieje Park Narodowy Doliny Dolnej Odry. Zatem trzeba czekać na jego brata po polskiej stronie Odry. A wracając, dla porównania, do cytowanej opinii z Ministerstwa – na stronach Wikipedii jest informacja, że „wysuwano również projekty utworzenia Parków Narodowych: Knyszyńskiego, Orawskiego, Janowskiego, Sobiborskiego, Chełmskiego oraz Podziemnego Parku Narodowego – Kopalni Soli Wieliczka”. I jeszcze Lasy Mirachowskie... I też „nie toczą się żadne prace...” aby utworzyć na kaszubskim Pomorzu park narodowy.

Albo to jakaś fałszywka, albo oficjalna informacja z Ministerstwa świadczy o zakłamaniu i niedoinformowaniu urzędnika. Wyjaśniam: Lasy Mirachowskie to wspaniały kompleks lasów i jezior chronionych w 8 rezerwach na Kaszubach. Obecnie objęte są ochroną w Kaszubskim Parku Krajobrazowym. Projektowanie tego parku narodowego ma już ponad 80 lat tradycji. Ale w latach 1938–1945 nie było ani urzędu, ani ministra od ochrony przyrody. Do września 1939 roku była – podobnie jak dziś – lekceważona Państwowa Rada Ochrony Przyrody.

Trudno zliczyć urzędników niższej rangi i ministrów, „właściwych dla ochrony przyrody i środowiska”. Do 1939 roku obowiązywała – uchwalona po wielu staraniach i walce o ochronę polskiej przyrody – pierwsza nasza ustawa z 1934 roku. Ale od 1949 roku, gdy zaczęła przez wiele lat obowiązywać ustawa o ochronie przyrody, następnie o ochronie środowiska z 2001 roku i potem kolejna z 2004 roku o ochronie przyrody, w urzędach o randze ministerstwa i im podobnych, ochroną przyrody i środowiska zajmowało się i nadal to robi nieudolnie – znacznie ponad 250 osób.

Nie każdy „właściwy minister” zasłużył na dobrą pamięć obrońców przyrody i środowiska. Niektórzy uzyskali nieoficjalne tytuły „tępiciele łośi”, kilku zapamiętano jako „wrogów wilków i bobrów”, inni mają na sumieniu „politykę betonowania koryt rzek i budowania stopni wodnych”. Byli też tacy, którzy chcieli budować autostrady nad bagnami, a drogi szybkiego ruchu jak najdalej od swoich willi. I wycinać Puszcę ze strachu – podbudowanego naukowo – przed kornikiem.

Ostatnio (od 2018 roku) polskiej przyrodzie i środowisku trafił się minister z zawodu nauczyciel matematyki, z którym kilka lat temu sadziłem – obok jego szkoły rolniczej w podlaskim Gołądkowie, gmina Winnica, powiat Pułtusk – stare odmiany drzew owocowych. Zadaję sobie pytanie: czy nie byłoby dla ochrony polskiej przyrody i środowiska lepiej – a wręcz doskonale dla kolejnych polskich parków narodowych – gdyby nadal pracował jako nauczyciel matematyki. A ponadto pozostał wójtem gminy Winnica, działaczem Ruchu Światło–Życie, a nawet zwykłym posłem do sejmu (zaliczył już cztery kadencje).

Ale wielu zapewne zgodzi się ze mną gdy przypomnę opinie mądrych: „nadzieja umiera ostatnia”, a jeszcze mądrzejsi twierdzą, że „dłużej klasztora niż przeora”. Więc pocieszam się, że jednak polska przyroda – ta najcenniejsza i całkiem pospolita – da sobie radę jak od wieków w ten sam sposób. Przetrwają zarówno szkodników, ignorantów, analfabetów przyrodniczych, z takim samym skutkiem jak w odniesieniu do entuzjastów, obrońców przyrody i środowiska w skali mikro i makro. Dotyczy to zarówno zadeptywanego szlaku na Giewont, zaśmiecanych plaż bałtyckich jak i niedoszłych terenów, na których powinny powstać kolejne polskie parki narodowe.

Do banałów wypada zaliczyć stwierdzenie, że ochrona przyrody i środowiska to – patrząc z innej strony – jeden z podstawowych warunków sprzyjania powszechnej turystyce i krajoznawstwu. To innymi słowy – ochrona tożsamości narodowej. To równie środowisko, w którym odbywać się powinien proces edukacji ekologicznej, ale i patriotycznej i ekonomicznej. Kto tego nie pojmuje – jak powiadali dawniej nasi rodacy – ten kiep. To piękne, proste staropolskie nazwanie tego, kto jest mało roztropny, nie pojmuje rzeczywistości, szkodzi sam sobie, „podcina gałąź, na której wygodnie (do czasu) siedzi”. Po prostu człowiek głupi. A tacy kiepcy są dla przyrody najbardziej niebezpieczni, jako ignoranci i szkodnicy w jednym.

Tomasz Kowalik

Post scriptum: ostatni – 23 polski Park Narodowy Ujście Warty – utworzono w 2001 roku.

Wędrując oddychaj głęboko i uszanuj

Ta kraina ekoturystyczna to jedna czwarta naszego kraju. Pomyślana jako teren wymagający szczególnej troski po to, aby najcenniejsze w polskiej przyrodzie i krajobrazie tereny na północno-wschodnich kresach zachować w jak najmniej zmienionym i godnym przekazania następnym pokoleniom stanie. Mało kto wie, że Zielone Płuca Polski opisano w lipcu 1983 roku na łamach czasopisma „Światowid” i w tym samym roku w uchwale Komisji Ochrony Przyrody ZG PTTK. Ich unikatowe w skali europejskiej znaczenie, jako najważniejszego terenu do realizacji narodowych zadań ekorozwoju w Polsce, podkreśliła w 1994 roku Deklaracja Sejmu RP w sprawie obszaru Zielone Płuca Polski.

Obszar nazwany Zielonymi Płucami Polski tworzą: całe województwo podlaskie, warmińsko-mazurskie bez jednej gminy, prawie połowa woj. mazowieckiego, 33 gminy woj. kujawsko-pomorskiego oraz 6 gmin woj. pomorskiego. Obszar obejmuje ogółem 57 powiatów ziemskich, 7 miast na prawach powiatu i 379 gmin. Łącznie jest to 63229 km², czyli około 20 % powierzchni naszego kraju. Jest to obszar najcenniejszy pod względem wartości środowiska naturalnego – przyrody, krajobrazu, różnorodności kulturowej, liczby terenów, gatunków roślin i zwierząt chronionych – a więc jakości niezwykle ważnych dla człowieka i gospodarki.

Wypada zaznaczyć, że pomysłodawcą określenia, czym ma być ZPP był Krzysztof Wolfram, absolwent Wydziału Leśnego SGGW, przewodniczący Komisji Ochrony Przyrody ZG PTTK, poseł na Sejm kadencji 1993–1997, fotografik przyrody, publicysta, oddany tej sprawie i niestrudzony popularyzator wiedzy o tym regionie. Od wielu lat animator wielu projektów poświęconych idei i wdrażaniu systemu ochrony, zrównoważonej gospodarki oraz turystyki przyrodniczej na terenie Zielonych Płuc Polski.

Porozumienie w sprawie ochrony i zrównoważonego użytkowania środowiska tej części kraju podpisały w maju 1988 roku władze administracyjne i samorządy województw: podlaskiego, łomżyńskiego, olsztyńskiego, ostrołęckiego, kujawsko-pomorskiego, pomorskiego i mazowieckiego, tworzących region Zielonych Płuc Polski. W 1990 roku podpisano następne porozumienie ustanawiające zasady kompleksowej ochrony.

W roku 1997 rozpoczęto przyznawanie Znaku Promocyjnego Zielonych Płuc Polski. Jest to zielony liść klonu, wpisany w północno-wschodni fragment rysunku obszaru Polski. Od kwietnia 2004 r. Narodowa Fundacja Ochrony Środowiska uprawniała Fundację Zielone Płuca Polski z siedzibą w Białymstoku do nadawania nieodpłatnie znaku towarowego «Zielone Płuca Polski» – produktom wytwarzanym przez podmioty gospodarcze na tym terenie.

Jednym z najważniejszych kierunków rozwoju gospodarki na obszarze ZPP są liczne dziedziny i formy turystyki zrównoważonej, sprzyjające oddaniu wszystkich walorów regionu do użytkowania, ale i chronieniu wszystkiego, czym go obdarowała natura. Ekoturystyka, turystyka przyrodnicza – to nie tylko modne hasła, ale przede wszystkim praktyka. O obywatelską troskę o Suwalszczyznę, Podlasie i pobliskie rejony starali się



Zielone Płuca Polski – KRAINA EKOTURYSTYCZNA

KATALOG TURYSTYKI PRZYRODNICZEJ W PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ POLSCE

Green Lungs of Poland
– Eko-tourism Land
■ Nature tourism catalog in the north eastern Poland

Grüne Lunge Polens
– Eko Touristische Landschaft
■ Naturtourismus Verzeichnis im nordöstlichen Polen



KAPITAŁ LUDZKI
NARODOWA STRATEGICZNA SPÓŁNOŚĆ

PARP

UNIA EUROPEJSKA
FUNDUSZ SPOŁECZNY

PROJEKT WSPÓLFINANSOWANY PRZEZ UNIE EUROPEJSKĄ, W RAMACH EUROPEJSKIEGO FUNDUSZU SPOŁECZNEGO

wybitni krajoznawcy, tacy jak Zygmunt Gloger, Aleksander Janowski, Stanisław Thugutt, Antoni Patla i wielu innych regionalistów.

Kraina zwana także Wrotami Podlasia chlubi się 4 parkami narodowymi: Białowieskim, Biebrzańskim, Narwiańskim i Wigierskim (o łącznej powierzchni 92031 ha); 4 parkami krajobrazowymi: Łomżyńskim, Doliny Narwi, Puszczy Knyszyńskiej i Suwalskim (o łącznej pow. 88084,5 ha); 85 rezerwatami przyrody (4015 ha); 15 obszarami chronionego krajobrazu (471761 ha); 249 użytkami ekologicznymi i 2038 pomnikami przyrody.

Ten region nie da się porównać z żadnym innym w Polsce ani w Europie. Są w nim takie osobliwości, jak kompleks Wielkich Jezior Mazurskich, rezerwat biosfery „Jezioro Łuknajno”, Suwalski Park Krajobrazowy (pierwszy w Polsce), Kurpiowski Park Etnograficzny, Leśny Kompleks Promocyjny „Puszcza Knyszyńska” (125 tys. ha), jeden z największych w kraju naturalnych kompleksów polskich lasów, najgłębsze polskie jezioro Hańcza (108 m), kultowe dla turystów wodniaków rzeki (Czarna Hańcza, Biebrza, Ełk, Łyna i Krutyń), osada Republika Ściborska opodal Bani Mazurskich, osada Galindów w Mazurskim PK, Góra Zamkowa i Gród Jaćwingów nad jeziorem Szurpiły w Suwalskim PK, wspaniała nowoczesna cerkiew w Hajnówce, kolekcja ikon w klasztorze w Supraślu i setka innych. Jest to idealny teren do wypraw przyrodniczych np. przez Biebrzański PN, spływów łodziami „na pych” w Narwiańskim PN; stwarza nieograniczone możliwości dla amatorów turystyki przyrodniczej i fotografów przyrody, obserwatorów ptaków (jest tam mnóstwo zlotowisk żurawi) i innych zwierząt (rezerwaty żubrów, stada wolnościowe).

Amatorom wędrowania, spędzania wakacji, urlopu, wyprawy czy tylko krótkiej wycieczki służą na obszarze ZPP dziesiątki znakowanych szlaków turystycznych, ścieżki przyrodnicze, drogi publiczne, biegnący przez kilka województw szlak rowerowy Green Velo, a także trakty wiejskie pośród wzgórz, jezior i pól uprawnych, przez dorodne lasy i niewielkie zagajniki. Do podziwiania są gładzowiska z tysiącami omszałych pamiątek po lodowcu – wybitnym rzeźbiarzu krajobrazu. Noclegi oferują setki kwater prywatnych, pensjonatów, domków letniskowych, pokoje gościnnych. Wypada wspomnieć, że wynajem, pobyt noclegowy nawet z wyżywieniem, nie dziurawią kieszeni i nie opróżniają do cna portfeli turystów.

A na dokładkę są jeszcze, wyroby regionalnej sztuki i wspaniałe, nieznane z innych części kraju przetwory – wędliny, sery (np. wiele odmian serów wiaźnieńskich z gminy Wiaźny na trójstyku granic Polski, Litwy i Obwodu Kaliningradzkiego), sękacze, korowaje, kiszka ziemniaczana, chrust czyli faworki z makiem (mrowiska), kartacze. Regionalne atrakcje można przeżywać na takich imprezach, jak Noc Świętojańska nad Stawem Turtulskim, festyn gminny w Żytkiejmach, występy licznych zespołów regionalnych, kapel i chórów.

Tomasz Kowalik

„Zielone Płuca Polski – kraina ekoturystyczna”, katalog turystyki przyrodniczej w północno-wschodniej Polsce, zawiera około TYSIĄCA (!) barwnych fotografii. Wydawca – Fundacja Zielone Płuca Polski; egzemplarze bezpłatne.

Tężniogrody, czyli tam, gdzie są tężnie...

W porównaniu z wieloma opasłymi albumami fotografii krajoznawczych, ten jest skromny, także dlatego, że ukazuje zaledwie 25 spośród ponad 40 osobliwych tych budowli.* W ciągu zaledwie kilkunastu ostatnich lat w Polsce zbudowano kilkadziesiąt tężni solankowych. Wzorem są słynne – uznane za Pomnik Kultury – ogromne, największe w Europie, konstrukcje z XIX wieku, które powstały w kujawskim Ciechocinku z inicjatywy Stanisława Staszica (1755-1826). Był wybitną osobą w dziejach polskiej nauki i kultury uznany za ojca polskiej geologii i krajoznawstwa, był synem burmistrza wielkopolskiego miasteczka Piła.

A w ostatnich latach 90. XX wieku i dwudziestoleciu bieżącego stulecia przybywało ich coraz więcej w wielu miejscowościach. Są znacznej wielkości, jak tężnia w Konstancinie – opodal Warszawy, potężna budowla w warmińsko-mazurskim uzdrowisku Gołdap. Jest też w podwarszawskim Józefowie tężnia – część prywatnego domu mieszkalnego. Mikroklimat powstały wokół tężni wykorzystywany jest w profilaktyce i leczeniu schorzeń górnych dróg oddechowych, zapalenia zatok, rozedmy płuc, nadciśnienia tętniczego, alergii, nerwicy wegetatywnej i w przypadku ogólnego wyczerpania.

Tężnia to dość prosta budowla zazwyczaj z drewna sosnowego. Jej „ściany» wypełniają drobne rosochate gałązki tarniny, po których spływa pozyskana ze złoża woda z solą, inaczej – solanka. Jej krople rozbijają się setki razy o te gałązki. W ten prosty sposób w powietrzu stęża się zawartość, pomnaża liczbę, zwiększa nasycenie mikroelementami, tworzy się mikroklimat. Dlatego przybywa mikrocząsteczek (aerozol), w jej otoczeniu nasycy, – czyli właśnie stęża – zawartość leczniczego jodu. Ten prosty sposób nasycania powietrza leczniczymi mikroelementami wymyślił i tężnie w Ciechocinku zaprojektował profesor Jakub Graff z Akademii Górniczej w Kielcach,

Źródła solanki w Ciechocinku odkryto w drugiej połowie XVIII wieku, chociaż miejscowa ludność wydobyciem i warzeniem soli zajmowała się już w XIII wieku na mocy zezwoleń danych przez Konrada I Mazowieckiego. Obecnie stare warzelnię soli uznano za atrakcyjną część zabytkowego fragmentu uzdrowiska. Jest atrakcyjną placówką edukacyjną dla krajoznawców licznie zwiedzających tę pamiątkę. W 2017 r. zespół tężni i warzelni soli wraz z parkami Tężniowym i Zdrojowym został wpisany na listę polskich Pomników Historii. Jest to forma ochrony obecnie już 118 cennych zabytków.

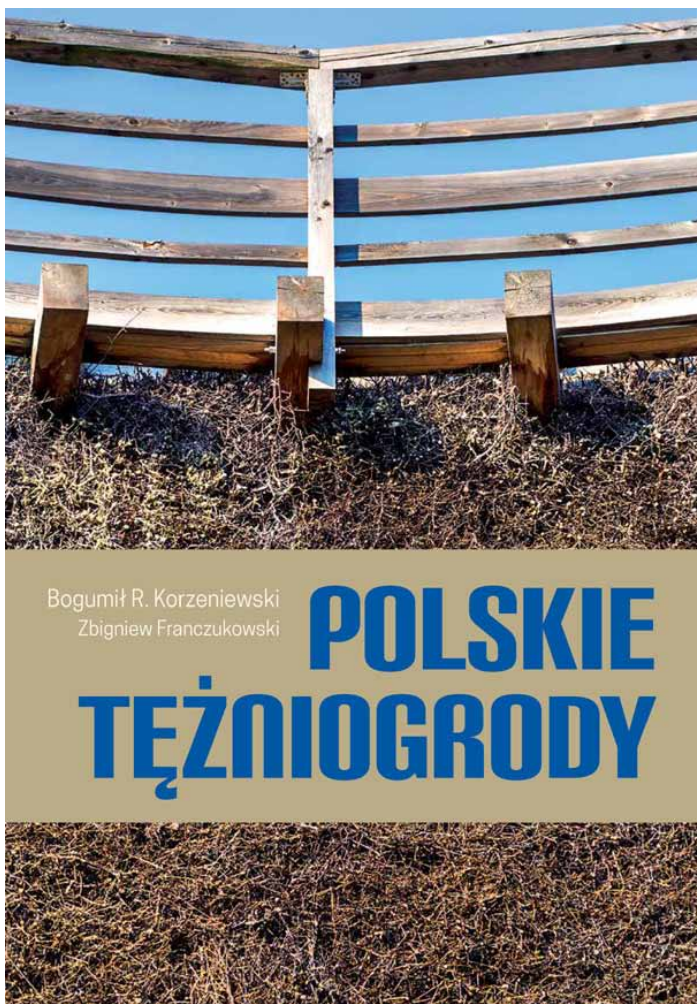
Największa tężnia ma 648 metrów, pojemności 5000-5800 m³, druga ma 719 metrów, pojemności ok. 6000-6300 m³ zbudowano je w latach 1824-1828, tężnia trzecia ma 333 metrów, pojemności ok. 2900 m³. Wspomnianą tężnię w Konstancinie zbudowano w latach 1974-1979 i jest drugą w kolejności pod względem wielkości i znaczenia w polskich uzdrowiskach. Jest to inhalatorium na wolnym powietrzu. Solankowe mikrocząsteczki rozprasa nie tylko klasycznie woda spływająca kroplami po gałązkach tarniny, ale też «grzybek» (rodzaj fontanny) wewnątrz zamkniętego kręgu tężni o wysokości 6 metrów.

Autorem tego albumu podobizn obiektów krajoznawczych, jest były długoletni pracownik Zarządu Uzdrowiska Ciechocinek, krajoznawca, regionalista, przewodnik, podróżnik, dziennikarz, autor i posiadacz bogatego zbioru fotografii krajoznawczych. Jest też autorem licznych publikacji poświęconych temu uzdrowisku. Legitymuje się tytułami Zasłużony Działacz Turystyki, Zasłużony dla Uzdrowisk Polskich, Zasłużony Przewodnik PTTK, wyróżniony Złotą Odznaką Honorową PTTK., więc – moim zdaniem – nic w tym dziwnego, że w tym wydawnictwie znalazł się jego osobisty wybór najcenniejszych, zabytkowych i nowoczesnych, tężni solankowych w Polsce.

Niestety, zwracająca uwagę atrakcyjna szata graficzna albumu, powoduje jednak mój niedosyt. Powodem takiego odczucia jest skromny ilościowo wybór, ale za to znakomity pod względem wizualnym zbiór fotograficznych obrazów o osobliwym – i jak dotąd – unikatowym wyborze i temacie «tężnie polskie». Subiektywnie zaliczam to wydawnictwo krajoznawcze do cennych źródeł wiadomości o naszych tężniach. Każdą warto poznać i w jej mikroklimacie odpoczywać i leczyć uciążliwe dolegliwości naszych organizmów. Album zaliczam i polecam do kolekcji poznawczych i podręczników szkoleniowych w bibliotekach osobistych krajoznawców, turystów, fotografów, oraz do publicznych zbiorów bibliotek pracowni krajoznawczych, kół przewodników.

Tomasz Kowalik

* Bogumił R. Korzeniewski – POLSKIE TĘŻNIOGRODY, album 134 barwnych fotografii krajoznawczych najpiękniejszych polskich tężni w 25 miejscowościach (jedna w Niemczech), Wydawca; PressForum s.c., Polanica Zdrój, Ciechocinek – Polanica Zdrój 2019.



Nowości Wydawnictwa Poznańskiego

Albena Grabowska: „Bułgaria. Złoto i rakija”, okładka twarda, wymiary: 13.5x21, ilość stron: 312

Dlaczego rakii nie pije się na raz? Czy to prawda, że Bułgaria jest rajem dla archeologów i że przeciętny Bułgar lubi rozmawiać o ziołach? Dlaczego ostatni car Bułgarii wrócił do władzy? I w końcu, jak to się stało, że ten czarnomorski kraj zasłużył sobie na miano Róży Europy?

Bułgaria kojarzy nam się przede wszystkim z czasami w PRL-u. Na wakacjach w Złotych Piaskach popijano pomarańczowy schwepes, a na pamiątkę każdy pakował do torby koniak Słynczew Briag. Kwitł nie tylko handel wymienny, ale także nawiązywały się wieloletnie przyjaźnie. A jaka jest współczesna Bułgaria?

Autorka przedstawia nieznaną oblicze jednego z najciekawszych krajów Europy. Prowadzi nas mało uczęszczanymi szlakami, mierzy się z mitami, uwodzi znajomością miejsca i kultury.

Opinie o książce:

Ta erudycyjna i pełna humoru książka to także moja Bułgaria. Dawno nie czytałem niczego, co przeniosłoby mnie tak wiernie w czasy i miejsca dzieciństwa. Bo niekiedy miejsca, które pozornie doskonale znamy, zasługują na ponowne odkrycie. Takim odkryciem jest Bułgaria Magdaleny Genow.

Hubert Urbański

Magdalena Genow pisze o Bułgarii w tak niezwykle sposób, że czyta się ją jednym tchem. Jej miłość do tego kraju to cudowna rekomendacja dla niezdecydowanych.

Jarosław Kuźniar

Pełna smaków, zapachów i wrażeń książka o Bułgarii i Bułgarach. Autorka ciepło i z nostalgią, bez cienia sentymentalizmu, pisze o kraju lat dzieciennych, zapamiętanych obrazach, wyprawach w różne rejony Bułgarii, babci, która odeszła, i tańczących niedźwiedziach. Bardzo polecam.

Albena Grabowska, autorka wielu powieści, w tym ekranizowanej sagi „Stulecie winnych” i non-fiction o Bułgarii „Tam, gdzie urodził się Orfeusz”

Daniel C. Taylor: „Yeti”, okładka miękka, wymiary: 15x23, ilość stron: 376

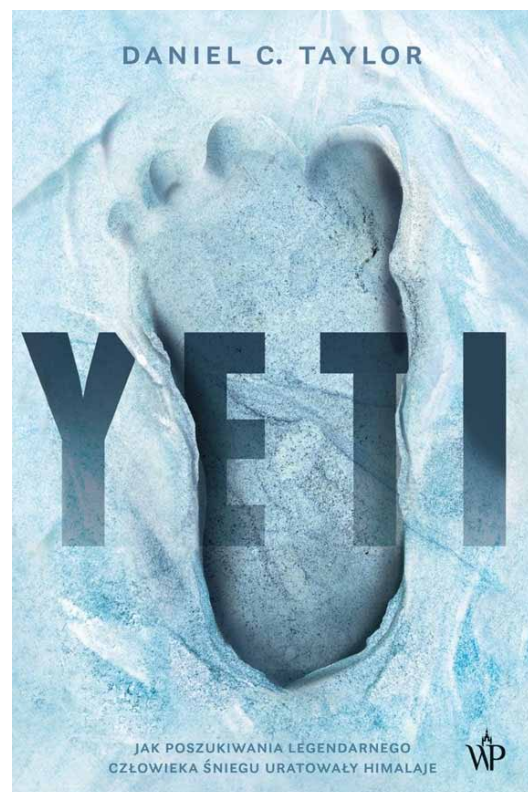
CO ZROBIĘ Z YETI, KIEDY JUŻ GO ZNAJDE?

POWINIENEM UMIEŚCIĆ GO W ZOO, UGOŚCIĆ W SWOIM DOMU, A MOŻE ZAMKNAĆ W MUZEUM?

Daniel C. Taylor przez niemal 60 lat badań zadawał sobie te pytania. Doprowadziły go do wyjaśnienia zagadki legendarnego człowieka śniegu.

Badacz znalazł odpowiedź w dolinie Barun - najbardziej dzikiej dżungli Nepalu, miejscu, gdzie w duchu idei Thoreau człowiek żyje w harmonii z naturą, korzystając z jej darów i otaczając ochroną. Dzięki determinacji i zaangażowaniu Taylora, w Himalajach utworzono kilka parków narodowych i krajobrazowych, wytyczono także największy w Azji obszar chroniony.

Poszukiwania Yeti dały początek nowym sposobom dbania o najbardziej zagrożone rejony naszej planety, a jednocześnie przyniosły rozwiązanie odwiecznego dylematu: kim (lub czym) tak naprawdę jest Yeti - fascynującym zwierzęciem człekopodobnym czy może symbolem czegoś głębszego, co drzemie w każdym z nas?



Góry Kaczawskie słowem malowane

Książka ukazała się nakładem wydawnictwa Primo Libro w czerwcu tego roku. Zawiera opisy kaczawskich wędrówek Krzysztofa Gduli oraz ponad 60 kolorowych zdjęć, a liczy 260 stron.

Dostępna jest w szeregu księgarni internetowych, na allegro, u wydawcy oraz u autora.

Tekst z okładki:

„Pisanie jest dla mnie formą przeżywania świata raz jeszcze, wydobywaniem z wnętrza siebie wrażeń niezauważonych bądź niedocenionych; pisanie bywa też pragnieniem, niemożliwą do nazwania i do zaspokojenia potrzebą, pasją i spełnieniem.

Mamy niespełna trzydzieści liter, ale tworzą one wielką ilość słów, które ułożyć można na nieskończoną ilość sposobów i wyrazić nimi wszystko. Każdy odcień ludzkich uczuć – od ostatniej niegodziwości, do najwznioślejszej miłości, i każdą barwę świata – od ostatniej brzydoty, do siedmiu jego cudów.

Zapisanie słów i późniejsza możliwość ich odczytania jest czymś z pogranicza magii, jednak zapisanie słów wyrażających wrażenia z przeżywania piękna Ziemi w sposób budzący w czytelniku podobne odczucia, a za nimi potrzebę obcowania z pięknem, jest magią najczystsza.

Mam nadzieję, na chociaż zbliżenie się do tej sztuki.

Pisząc swoje relacje z wędrówek, starałem się stworzyć pociągający barwami obraz świata widzianego moimi oczami i przeżywanego moim duchem, lecz nie pędzła używałem, a właśnie słów.

Życzę przeżycia miłego spotkania z moją maleńką Ziemią – z Górami Kaczawskimi malowanymi słowami”.



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.

Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgodnionych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931